

Miasto wolności

Historia Świdnika od komunizmu do wolnej Polski

Świdniczanom za ich walkę o wolność

Projekt okładki, skład: Paweł Kasperek

Redakcja techniczna: Piotr R. Jankowski

zdjęcia: Piotr R. Jankowski, Jerzy Oleszczuk, Sławomir Smyk, Waldemar Wawrzyszko,

Świdnik na Kartach Historii / www.historia.swidnik.net

Druk i oprawa: Agencja Wydawniczo-Reklamowa „Magic”, ul. Melgiewska 32, 20-234 Lublin

Wydawca: Miejsko-Powiatowa Biblioteka Publiczna w Świdniku

www.bibliotekaswidnik.pl



Copyright by Miejsko-Powiatowa Biblioteka Publiczna w Świdniku

ISBN 978-83-955657-3-1

Świdnik 2020

PATRONAT HONOROWY



WSTĘP

Wielu z nas stawia dzisiaj pytanie: dlaczego w Świdniku nigdy nie odbyły się najważniejsze państwowe uroczystości upamiętniające walkę „Solidarności” z komunistycznym systemem? Dlaczego przedstawiciele najwyższych polskich władz, politycy, dziennikarze, a także historycy, ilekroć o niej mówią, pomijają rolę Świdnika?

Przecież robotnicze strajki, które doprowadziły do narodzin Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, pod sztandarami którego przez prawie dekadę walczyliśmy o polską wolność, zaczęły się właśnie w Świdniku. W lipcu 1980 roku robotnicy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego (WSK) jako pierwsi zainicjowali pokojową metodę walki z komunistycznym systemem. Ze wszystkich zakładów pracy w kraju, to w Świdniku „Solidarność” należała do najsilniejszych. Była na tyle mocna, że zawsze obawiały się jej reżimowe władze. Gdy w grudniu 1981 r. postanowiły wprowadzić stan wojenny, były przekonane, że jeśli gdzieś będą musiały użyć siły, to z pewnością będzie to Świdnik. I jak się potem okazało nie było w tym cienia przesady. Zdeterminowana do działania załoga wytwórni kierowała wówczas akcją strajkową na całej Lubelszczyźnie. Niewiele brakowało aby w WSK połała się wówczas robotnicza krew.

W czasach stanu wojennego działające w Świdniku struktury podziemnej „Solidarności” również należały do najsilniejszych i najbardziej aktywnych w kraju. To tutaj organizowano różne formy oporu przeciwko polityce władz stanu wojennego. Niektóre z nich, jak np. świdnickie spacery, przykuwały uwagę całego kraju. Organizowano też szeroką pomoc dla członków „Solidarności” i ich rodzin, wydawano podziemną prasę, działało podziemne radio, kwitła niezależna kultura. W działania te zaangażowani byli nie tylko działacze podziemnej „Solidarności”, ale zdecydowana większość mieszkańców miasta. Stało się ono wówczas centrum najsilniejszego oporu przeciwko systemowi. Ale nie byłby on możliwy bez wyjątkowej solidarności społecznej,

głęboko zakorzenionej w katolickiej wierze tutejszych mieszkańców. Stanowiła ona źródło ich siły w czasach komunistycznej Polski.

Dlaczego zatem w wolnej Polsce Świdnik był i nadal jest pomijany przy okazji najważniejszych uroczystości państwowych, upamiętniających drogę do wolności, którą dzisiaj tak bardzo się wszyscy szczycimy? Dlaczego w historii polskiego dążenia do wolności nie znalazło się miejsce dla Świdnika i dokonań jego mieszkańców w walce komunistycznym systemem?

Te pytania warto postawić przy okazji 40. rocznicy Lubelskiego Lipca, który przecież zaczął się właśnie w Świdniku. Wydarzenia tamtych dni powinny stać się punktem wyjścia do publicznej dyskusji na temat walki Polaków o wolną i demokratyczną Polskę!

dr Leszek Pietrzak

ROZDZIAŁ I

Narodziny miasta

Świdnik to miasto, które narodziło się w czasach komunistycznej Polski. Wszystko zaczęło się w końcu lat czterdziestych ubiegłego wieku, gdy rządowi planiści zaczęli zastanawiać się nad tym, jak zindustrializować rolniczą i bardzo ubogą Lubelszczyznę. Ich uwagę przykuła wówczas lokalizacja położona niedaleko stolicy regionu, na terenach nieopodal utworzonego przed wojną lotniska i szkoły pilotów. Planiści zwrócili uwagę na tę lokalizację z trzech zasadniczych powodów. Po pierwsze, znajdowała się ona zaledwie dziesięć kilometrów w linii prostej od Lublina, jednego z największych miast wschodniej Polski, w którym przed wojną istniała wytwórnia samolotów (Lubelska Wytwórnia Samolotów).

Po drugie, wiodła tędy zbudowana w czasach carskich linia kolejowa (Kolej Nadwiślańska) z Warszawy do Lublina, a następnie do Chełma i dalej w kierunku Kowla, który po wojnie znalazł się po stronie sowieckiej. Przy trasie tej linii znajdowała się stacja Świdnik, usytuowana w bardzo bliskiej odległości od Adampola. I po trzecie, najważniejsze, rządowym planistom było wiadome, że już przed wojną zbudowano w tym rejonie lotnisko, przy którym działała Cywilna Szkoła Pilotów Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej im. Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Zanim wybuchła II wojna światowa, zdołano tam wykształcić całą rzeszę pilotów, którzy później zaznaczyli swój udział m.in. w bitwie powietrznej o Anglię. Lotnisko w Świdniku, bo pod taką nazwą funkcjonowało ono w powszechnym obiegu, i istniejąca przy nim szkoła pilotów były największym przedsięwzięciem lotniczym, jakie zrealizowano w ramach budowanego przed wojną Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP). Wyasygnowano zresztą na nie astronomiczną w tamtych czasach kwotę prawie 1 miliona złotych. Lotnisko nie zakończyło jednak swojego funkcjonowania wraz z wybuchem II wojny światowej. W jej trakcie korzystali z niego Niemcy, zwłaszcza, gdy w czerwcu 1941 r. niemiecki Wehrmacht zaatakował Związek Sowiecki. To właśnie z niego startowały

ciężkie bombowce Ju-88 niemieckiej Luftwaffe, które miały bombardować strategiczne obiekty na terenie Związku Sowieckiego. Również po zakończeniu II wojny światowej lotnisko, pomimo jego zniszczenia przez wycofujących się Niemców, okazało się bardzo przydatnym obiektem. Tym razem dla Sowietów, kolejnych naszych okupantów, którzy korzystali z niego wydatnie zwłaszcza w pierwszych miesiącach tzw. Polski Lubelskiej, kiedy na bieżąco musieli udzielać pomocy rezydującemu w Lublinie PKWN-owi. Ze Świdnika odlatywały wówczas sowieckie samoloty, na pokładzie których znajdowali się aresztowani przez NKWD ważni przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego (PPP), stanowiącego dla okupantów ze Wschodu największy powód do obaw. Tak było m.in. 11 sierpnia 1944 roku, kiedy z podlubelskiego lotniska odleciało około 50 aresztowanych AK-owców, w większości pełniących funkcje kierownicze w strukturach Lubelskiego Okręgu Armii Krajowej.

Te trzy czynniki – bliskość mającego lotnicze tradycje Lublina, strategiczna linia kolejowa i lotnisko – wzięte razem pod uwagę podsunęły rządowym planistom myśl o tym, aby usytuować w tym miejscu nową fabrykę, która mogłaby ten potencjał praktycznie wykorzystać. Tak właśnie narodził się pomysł budowy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku.

W nowej fabryce pierwotnie planowano wytwarzanie elementów do samolotów. Miała ona być swoistym symbolem odbudowy polskiego przemysłu lotniczego, prawie całkowicie zniszczonego w czasie działań wojennych. Ale oprócz tego zaliczono ją do najważniejszych wielkoformatowych inwestycji, jakie zamierzano zrealizować w ramach ogłoszonego Planu sześcioletniego (1950–1955). Władzom komunistycznej Polski chodziło o to, aby dzięki takim przedsięwzięciom, jak to w Świdniku, przyćmić przedwojenne osiągnięcia gospodarcze, zwłaszcza podejmowane w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP był jednym z największych projektów gospodarczych II Rzeczypospolitej, realizowanym w latach 1936–1939 na obszarze południowo-centralnej części Polski).

Świdnicką fabrykę formalnie powołano do życia 1 stycznia 1951 roku zarządzeniem Ministra Przemysłu Ciężkiego, w którym mowa była o podjęciu budowy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, mającej podlegać Centralnemu Zarządowi Przemysłu Komunikacyjnego (CZPK). Przygotowania zaczęły się

już w sierpniu 1949 r. Na podstawie zarządzenia Ministra Przemysłu i Handlu władze gminy Melgiew, do której administracyjnie należał obszar lokalizacji przyszłej fabryki, uruchomiły wówczas działania w celu przygotowania terenu pod budowę. Plantowano więc teren, robiono wykopy, przygotowywano drogi dojazdowe dla sprzętu kołowego i rozpoczęto budowę bocznic kolejowej. W rządowych planach nowa fabryka oznaczona została jako „Zakład nr 5 w Świdniku”. Ten pierwszy etap budowy realizowany był zgodnie z duchem siemieżnych stalinowskich czasów, czyli siłami ochotników, głównie junaków z organizacji „Służba Polsce”. Ale obok nich coraz częściej na terenie budowy przyszłej wytwórni pojawiali się pracownicy z całej Lubelszczyzny.



Budowa samej fabryki zaczęła się jednak dopiero wiosną 1951 roku, kiedy w Świdniku pojawiły się duże państwowe przedsiębiorstwa budowlane. Najważniejszym z nich było Lubelskie Przemysłowe Zjednoczenie Budowlane (LPZB), które zostało głównym wykonawcą. Obok niego w powstanie świdnickiej fabryki zaangażowane były dziesiątki innych firm. Władze zadbały o to, aby postępów prac nie śledziły osoby z zewnątrz, dlatego cały teren budowy otoczono wysokim płotem z wieżyczkami strażniczymi, a za jego ochronę odpowiadała jednostka Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego



(KBW) – formacji, która podlegała ówczesnemu Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego (MBP). Otoczyło ono zresztą Świdnik „szczególną opieką”, na bieżąco dbając o wyeliminowanie wszelkich pojawiających się przejawów „wrogiej działalności”, zwłaszcza mogących wiązać się z postępem prac budowlanych. Tylko unoszący się w całej okolicy kurz, zamieniający się w czasie deszczu w błoto, a także towarzyszący robotom spory hałas zdradzały, że budowa trwa w najlepsze.

Równolegle zaczęło powstawać pierwsze osiedle mieszkaniowe. Zdawano sobie bowiem sprawę z tego, że postawione pośpiesznie baraki robotnicze są jedynie tymczasowym rozwiązaniem i zawczasu trzeba pomyśleć o tym, jak zapewnić należyte warunki lokalowe robotnikom przyszłej fabryki. Pierwszy etap zakładał oddanie do użytku 700 mieszkań, kotłowni oraz

oczyszczalni ścieków. W kolejnym oddanych do użytku miało zostać 1200 mieszkań. Potem następowały kolejne fazy budowy osiedli w powstającym wokół fabryki mieście. Pierwsze bloki stanęły już w 1951 roku. Z czasem zaczęły się tworzyć osiedla, które były uporządkowane kwartałami (tzw. ćwiartkami) wyznaczonymi przez przecinające się pod kątem prostym nowe ulice). Taki właśnie układ przestrzenny, według niektórych socjologów, stanowił swoiste odniesienie do totalitaryzmu i założeń typowych dla obozów pracy.



W maju 1966 roku Spółdzielnia Mieszkaniowa rozpoczęła budowę osiedla im. Tadeusza Kościuszki. Docelowo miało w nim zamieszkać prawie 5 tys. osób. Po nim uruchomiono budowę kolejnych, ale ogromne opóźnienia w ich realizacji powodowały, że przysłowiowy „głód” mieszkań nadal był dla Świdnika sporym problemem. W 1959 roku, gdy podjęto decyzję o dalszej rozbudowie miasta, zdecydowano, że koniecznym warunkiem jest powstanie Centrum (obecny Plac Konstytucji 3 Maja). To posunięcie dodało Świdnikowi atrybutu prawdziwego ośrodka miejskiego, który – jak postanowiły władze – miał być symbolem wielkich osiągnięć gospodarczych nowego systemu. Rządowi planiści założyli pierwotnie w Świdniku liczbę 20 tysięcy mieszkańców w okresie Planu sześcioletniego, a w następnym okresie podnieśli ją do prawie 30 tysięcy. Zakładano również, że miasto rozwijać się będzie terytorialnie i obejmie obszar nie tylko Adampola, ale i Krępcza. Tak rzeczywiście się stało.

Tymczasem do budowanego planowo Świdnika napływali kolejni nowi jego mieszkańcy. Widać to było zwłaszcza po tym, jak oddano do użytku podstawowe obiekty nowej fabryki i niebawem ruszyła w niej produkcja (pierwsze skrzydła i usterzenia do samolotów wyprodukowano już w 1952 r.). Do pracy w WSK zgłaszali się nie tylko mieszkańcy Lublina i regionu. W miarę upływu czasu do Świdnika zaczęli przybywać ludzie z całej Polski. Wśród napływających byli także ci, dla których nowy adres okazywał się swoistym schronieniem. Mowa oczywiście o byłych żołnierzach Armii Krajowej, uczestnikach Powstania Warszawskiego, antykomunistycznym



podziemia, istniejącego w Polsce po roku 1944, oraz Sybirakach, którym pomimo przeciwności udało się wyrwać z „niehumanitarnej ziemi”. Ale wśród masy przyjeżdżających do Świdnika znalazły się także grupy, które dla wytwórni były na „wagę złota”. Pierwszą tworzyli pracownicy przedwojennej Lubelskiej Wytwórni Samolotów (LWS), która funkcjonowała w Lublinie i była pierwszym producentem samolotów w odrodzonej Polsce, drugą – pracownicy przedwojennej Podlaskiej Wytwórni Samolotów (PWS) w Białej Podlaskiej. Profesjonalną kadrę starano się ściągać także na inne sposoby. W tym celu z inicjatywy dyrekcji WSK i władz wojewódzkich (m.in. przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie Pawła Dąbka) zorganizowano w Warszawie spotkanie ze studentami Politechniki Warszawskiej, oferując im atrakcyjne stypendia, pod warunkiem, że po zdobyciu dyplomu podejmą pracę w WSK. Wielu z nich przyjęło ofertę i przyjechało później do Świdnika. Te trzy grupy swoją wiedzą, doświadczeniem zawodowym bądź kierunkowym przygotowaniem wydatnie wsparły kadry podlubelskiej wytwórni.

WSK w Świdniku w pierwotnych założeniach miała produkować elementy do sowieckich samolotów odrzutowych MiG-15, a potem stać się kooperantem Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu. Jednak plany te szybko uległy zmianie. Na mocy porozumienia z 1954 r., jakie komunistyczna Polska zawarła ze Związkiem Sowieckim, oprócz części do samolotów MiG-15 (w wersji polskiej był to Lim-1) fabryka miała produkować także śmigłowce na sowieckiej licencji. Zakładano, że to będzie wręcz główny profil jej produkcji. Uruchomiono ją już w 1956 roku, gdy pierwszy SM-1, będący odpowiednikiem radzieckiej wersji śmigłowca Mi-1, zjechał z taśmy świdnickiej WSK, czym mocno przechwalała się wówczas rządowa propaganda. Potem powstawały kolejne modele śmigłowców, udoskonalane w biurze konstrukcyjnym WSK: SM-2, SM-4. Mi-2 czy legendarny „Sokół”, już w całości zaprojektowany i zbudowany w Świdniku. Rozpoczęcie produkcji „Sokoła” było momentem przełomowym w historii wytwórni, albowiem z wykonawcy śmigłowców na sowieckiej licencji stała się samodzielnym ich producentem i to jedynym w całej Europie Środkowo-Wschodniej. Ale powstawały tu nie tylko śmigłowce. Profil produkcji poszerzony został również o szybowce (modele SZD 30 Pirat, PW- 5, PW- 6), motocykle (model MO-6, „Kos”, „Gil”, „Dudek”, „Lelek”) oraz części do samochodów ciężarowych (pompy, sprzęgła, chłodnie).

Od początku istnienia świdnickiej wytwórni ważne dla niej wydarzenia były szeroko nagłaśniane przez oficjalną propagandę. Tak było m.in. 28 września 1957 roku, gdy odbyła się uroczystość nadania jej imienia słynnego polskiego konstruktora lotniczego – inżyniera Zygmunta Puławskiego (odtąd pełna nazwa zakładu brzmiała: Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego imienia Zygmunta Puławskiego „PZL Świdnik”). Reżimowa propaganda jeszcze mocniej nagłaśniała wszelkie sprawy związane z samą produkcją w WSK. To przyciągało uwagę całej Polski. Bardzo często propagandzie tej wtórowali znani artyści, którzy w swoich piosenkach przywoływali sztandarowe produkty fabryki. Polacy nucili piosenkę o motocyklu WSK, wykonywaną przez Danutę Rinn i Bogdana Czyżewskiego. O motocyklach ze Świdnika śpiewał również Daniel, ówczesna gwiazda estrady. Maja Berezowska, uznana wówczas artystka, tworzyła natomiast grafiki ze świdnickim motocyklem w tle. Z kolei Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej, twórcy „Bolka i Lolka” czy „Reksia”, przygotowało dla wytwórni filmy reklamowe. Dzięki takim właśnie działaniom Świdnik stawał się znany. Nie mogło zatem dziwić, że do miasta ciągle przybywali ludzie skuszeni pracą i to w dużym i rozwijającym się zakładzie. To powodowało, że liczba mieszkańców Świdnika dynamicznie rosła. W listopadzie 1954 r. wynosiła prawie 7 tysięcy. Sześć lat później było ich już 11 tysięcy, a w 1970 r. – prawie 20 tysięcy. Poniekąd taki przyrost zakładali również w swoim pierwotnym projekcie rządowi planiści. Chyba dlatego już 7 października 1954 roku w wydanym przez Radę Ministrów rozporządzeniu „W sprawie zaliczenia niektórych gromad w poczet miast”, obok Dębłina, Pionek, Rumii, pojawił się też Świdnik.

Idea budowy miasta nie była czymś zupełnie nowym. Już w okresie międzywojennym poważnie brano pod uwagę taki właśnie scenariusz, zwłaszcza po tym, jak w Świdniku powstało lotnisko i szkoła pilotów, które to inwestycje – jak już wspomnieliśmy – były częścią budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. Realizacja tego projektu zakładała rozbudowę polskiego przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, a także zmniejszenie bezrobocia, wywołanego skutkami wielkiego kryzysu gospodarczego lat trzydziestych. Można zatem śmiało powiedzieć, że komunistyczne władze wróciły niejako do tej koncepcji, słusznie zakładając, że zbudowanie fabryki w Świdniku niechybnie będzie skutkowało powstaniem wokół niej miasta, przyciągającego Polaków z różnych zakątków kraju. Na pewno decyzja o zaliczeniu w poczet



nowych miast dla Świdnika oznaczała początek nowej epoki. Zyskał przede wszystkim swoje władze, w stronę których mieszkańcy mogli kierować wszelkie roszczenia i oczekiwania. W grudniu 1954 r. zaczęła działać Miejska Rada Narodowa (MRN), która od tej pory miała kierować całością życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego. Co ciekawe, MRN liczyła prawie 70 radnych, ale wcale nie było to oznaką jej demokratyczności. W praktyce była ona posłusznym narzędziem służącym do wykonywania decyzji, jakie zapadały wewnątrz miejscowej agendy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR), która swoje struktury w Świdniku (Komitet Miejski i Komitet Zakładowy) zaczęła tworzyć wraz z początkiem budowy WSK. Równie szybko usytuowały się ideologiczne przybudówki PZPR w rodzaju Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej (ZSMP), Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR), Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO), Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWiD), Ligi Kobiet Polskich (LKP) i Związku Zawodowego Metalowców (ZZM), który funkcjonował na terenie fabryki. Organem załogi WSK, był „Głos Świdnika”, lokalna gazeta, ukazująca się najpierw w cyklu dziesięciodniowym, a potem dwutygodniowym. Oprócz problemów świdnickiej wytwórni poruszała także sprawy budownictwa, kultury i sportu. W 1962 roku pojawił się młodszy brat „Głosu Świdnika” – „Głosik Świdnika Organik ZDK”, gazetka ścienna, na łamach której również pisano na temat bieżących „bólączek” miasta. Oczywiście wszystko odbywało się w granicach na bieżąco określanych przez sekretarza propagandy Komitetu Zakładowego PZPR i inspektorów cenzury Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (GUKPPiW).

Nie mogło też zabraknąć przedstawicieli organów ochrony porządku. Jeszcze zanim Świdnik zyskał status miasta, powstał posterunek Milicji Obywatelskiej (MO), którego szefowie zwyczajowo wchodzili w skład świdnickiej Miejskiej Rady Narodowej. Od początku swoich ludzi w Świdniku chciał mieć także lubelski UB, który i tutaj szukał wrogów systemu. Jednak dopiero po reformie administracyjnej z 1975 roku, kiedy powstał Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych, w jego strukturze pojawiły się pionierskie Służby Bezpieczeństwa (SB), następczyni UB. W latach pięćdziesiątych powołano również kolegium karno-administracyjne, które miało rozstrzygać drobne wykroczenia, podczas gdy przestępstwami miał się dalej zajmować Lublin.

Jednak to władze i stojąca za nimi PZPR podejmowały wszystkie decyzje w mieście. I to na nich spoczywał ciężar działań związany z codziennym funkcjonowaniem. A było to nie lada wyzwaniem. Nawet w przypadku miejsc pracy szybko pojawił się problem. Wprawdzie prawie 80 procent czynnej zawodowo ludności miasta znalazło zatrudnienie w WSK, ale brakowało miejsc pracy dla żon robotników. Próbowano temu jakoś zaradzić, lecz rezultaty tych działań nie były wystarczające. W 1972 r. przeniesiono z Lublina Chałupniczą Spółdzielnię Pracy im. Małgorzaty Fornalskiej, która dwa lata później zmieniła nazwę na Dziewiarsko-Włókienniczą Spółdzielnię Pracy im. M. Fornalskiej w Świdniku. Jednak tylko częściowo rozwiązało to wspomniany problem.

Równie dużym kłopotem był brak mieszkań. Budownictwo spółdzielcze w mieście nie nadążało z realizacją planów i z roku na rok sytuacja się pogarszała. Jeszcze bardziej frustrował istniejący system przydziału mieszkań, który faworyzował członków PZPR. Kwestię braku mieszkań próbowano rozwiązywać także za pomocą działek pod budowę domów jednorodzinnych, ale i w tym przypadku system ich przydziału niewiele odbiegał od tego znanego z mieszkalnictwa spółdzielczego.

Praca i dach nad głową nie były wszystkim, czego oczekiwali świdniczanie. Chcieli, aby miejscowe władze zaspokoili ich potrzeby również w takich dziedzinach, jak handel, edukacja, zdrowie, sport, kultura czy rozrywka. A tego w mieście, które miało być pomnikiem osiągnięć systemu, wciąż brakowało. Szczególnie uciążliwa była niewystarczająca do zaspokojenia codziennych potrzeb sieć handlowa, Wprawdzie w latach pięćdziesiątych pojawiły

się w Świdniku państwowe przedsiębiorstwa handlowe w rodzaju „Społem” (PSS „Społem”), WPHW (Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego) czy MHD (Miejski Handel Detaliczny), ale i tak ilość sklepów i punktów handlowych nie szła w parze z oczekiwaniami błyskawicznie rosnącej ludności miasta. Jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych funkcjonowała w nim jedna z najmniejszych w Polsce sieci handlowych w przeliczeniu na liczbę mieszkańców. A do tego była ona znacznie gorzej zaopatrzona w towary niż w innych ośrodkach. Taka sytuacja powodowała, że systematycznie organizowano w Świdniku „wycieczki zakupowe” do innych miast, zwłaszcza na Śląsk gdzie sieć stała na znacznie wyższym poziomie, również pod względem dostępności sklepów. Sytuacja nie wyglądała dobrze również w przypadku barów i restauracji, o które mieszkańcy dopominali się w równym stopniu, co o sklepy oraz punkty handlowe i usługowe. Sporym problemem były także żłobki, przedszkola i szkoły, których tworzenie nie nadążało za dynamicznym rozwojem miasta. W przypadku szkół sytuacja uległa wyraźnej poprawie dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy działało 10 szkół, w tym Liceum Ogólnokształcące i Technikum Mechaniczne. Dbano również o szkolnictwo zawodowe, zwłaszcza dla osób pracujących. Utworzono m.in. Zasadniczą Szkołę Zawodową i Technikum Mechaniczne dla Pracujących oraz Studium Policealne – w ramach Zespołu Szkół Technicznych, które można by określić swoistą politechniką świdnicką.

Prawdziwym wyzwaniem było jednak znalezienie dla dziecka miejsca w żłobku czy przedszkolu. Tych najzwyczajniej brakowało. Pracujący w WSK musieli sobie jakoś radzić. Istniejący w fabryce zmianowy system pracy stwarzał szanse na rozwiązanie problemu. W praktyce było tak, że rodzic, który przebywał przed południem w domu, bo siedł do pracy na późniejszą zmianę, zajmował się nierzadko dziećmi z kilku rodzin. W jakimś sensie przyczyniało się to do pogłębienia integracji mieszkańców Świdnika, zwłaszcza tych, którzy przybyli do niego już po uruchomieniu WSK.

Jeszcze większym wyzwaniem był w mieście dostęp do służby zdrowia, która najbardziej odstawała od dynamiki rozwoju pozostałych dziedzin życia. Utworzona jeszcze w latach pięćdziesiątych przychodnia nie była w stanie obsłużyć pacjentów, a tych systematycznie przybywało wraz ze wzrostem liczby ludności. Sytuacja uległa pewnej poprawie, gdy w latach sześćdziesiątych utworzono szpital i przychodnię miejską. Ale i tak istniał problem ze

skorzystaniem z pomocy lekarzy specjalistów. Nieco lepiej wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o sferę szeroko rozumianej kultury i rozrywki. Po erze robotniczych świetlic, jakie istniały w okresie budowy WSK, w świdnickiej kulturze nastąpiła zupełnie nowa epoka, w której pojawiły się: biblioteka zakładowa i publiczna, kino „Przodownik” oraz Zakładowy Dom Kultury (ZDK), prowadzący działalność oświatowo-artystyczną i rozrywkową. Przejawem rosnących potrzeb kulturalnych były powstające jak „grzyby po deszczu”, najczęściej przy ZDK, różne kluby zainteresowań (m.in. Klub Fabryczny „Ikar”, Robotniczy Dyskusyjny Klub Filmowy „Dodek”, Klub Piosenki) i zespoły muzyczne („Tramp”, „Ikersi”) oraz Zakładowa Orkiestra Dęta. Funkcjonowało Ognisko Muzyczne i Państwowa Szkoła Muzyczna. W ramach klubów zainteresowań pojawiały się różnego rodzaju inicjatywy, które przyciągały licznych mieszkańców.

Ogromną popularnością cieszyły się wszelkie formy aktywności związane z lotnictwem, co niespecjalnie dziwi z racji lotniczego charakteru miasta. Nie sposób nie wspomnieć o świdnickim aeroklubie. Z inicjatywą jego utworzenia wystąpiła już w 1952 roku grupa techników i inżynierów budowanej wówczas WSK, modelarzy i pilotów, którzy wcześniej uprawiali sporty lotnicze w innych aeroklubach. Dynamiczny jego rozwój miał miejsce w latach 1956–1957, gdy na stanie było 12 samolotów szkolnych i 11 szybowców. Oprócz szkolenia i treningu pilotów i skoczków spadochronowych urządzane były również konkursy pilotażu i nawigacji. Najważniejsze to zimowe zawody samolotowe, zawody w akrobacji samolotowej oraz Krajowe Zawody Śmigłowcowe podniesione w 1971 r. do rangi Mistrzostw Polski. Był to jedyny w Polsce aeroklub z sekcją śmigłowcową. Pod patronatem świdnickiego aeroklubu działała również sekcja balonowa i motolotniowa oraz modelarnia lotnicza. Jej członkowie brali udział w wielu krajowych zawodach i konkursach modelarskich, zdobywając liczne nagrody i wyróżnienia. W rozwoju lotniczych pasji pomagały świdniczanom wyjątkowe postacie. Jedną z nich był Tadeusz Góra, legenda polskiej awiacji i zdobywca pierwszego na świecie medalu Lilienthala za rekordowy przelot szybowcowy, jakiego dokonał w maju 1938 r. W czasie II wojny światowej Góra był pilotem polskich dywizjonów w Wielkiej Brytanii, odznaczonym Krzyżem Virtuti Militari. Pracował w WSK jako instruktor i kierownik lotów, szkolił pilotów i rozwijał pasje lotnicze u innych. W późniejszym okresie gwiazdą aeroklubu był Janusz Kasperek, trzykrotny mistrz świata i 14-krotny mistrz Polski w akrobacji samolotowej, którego ekstremalne wyczyny podziwiano

z zapartym tchem podczas pokazów i treningów.

W dynamicznie rozwijającym się mieście nie mogło zabraknąć innych dyscyplin sportu. Z inicjatywy jego miłośników już w maju 1952 roku zawiązał się komitet zakładowy ds. sportu. Na jego bazie powstał Robotniczy Klub Sportowy Stal Świdnik. W następnych latach tworzyły się kolejne sekcje: boksu, siatkówki, piłki nożnej, szermierki, koszykówki, pływania, szachów, tenisa i hokeja. W 1954 r. zmieniono nazwę klubu na Avia Świdnik, która już na trwałe wpisała się w historię miasta. Wraz z powstaniem Avii systematycznie budowano bazę sportową. Do użytku oddano m.in. 50-metrową pływalnię, korty tenisowe, stadion oraz halę do siatkówki. Rozpoczęto również budowę krytego basenu. Świdnicki sport związany był z fabryką, która sprawowała nad nim mecenat finansowy. Sukcesy w boksie Avia odnotowała za sprawą Ryszarda Petka, mistrza Polski i Europy. Potem przyszły triumfy drużyny siatkarskiej, która w latach siedemdziesiątych z powodzeniem rywalizowała w pierwszej lidze. Jej zawodnicy (Tomasz Wójtowicz i Lech Łasko) zostali członkami kadry narodowej, która w 1976 roku, ku radości milionów Polaków, wywalczyła w Montrealu olimpijskie złoto. Był to bowiem czas, kiedy wyczyny sportowców skutecznie odrywały zwykłych ludzi, także tych mieszkających w Świdniku, od narastających coraz bardziej problemów dnia codziennego. Miejscowa drużyna siatkarzy występowała w I lidze, a zespół piłki nożnej – w II i III lidze.

Osiągnięcia zapisali też na koncie pływacy Avii (m.in. Anna Bednarek, Andrzej Miciul, Agnieszka Patrzala, Zdzisław Stypiński, Waldemar Wasil i rekordzista Zbigniew Wiechnik). Niezwykle silna była oczywiście, w mieście kultowej wueski, sekcja motocyklowa, której członkami byli m.in. Jan Szczerbakiewicz, wybitna osobowość i wielokrotny mistrz Polski w rajdach motocyklowych, multisportowiec Jerzy Brendler, lekkoatleta, bokser, pływak, mistrz Polski w wyścigach motocyklowych, Bucior, Doroba, Grześ, Kmiecik, Matysiak, Pranagal, Rechul, Serwin, Siuda. Te nazwiska znali wszyscy świdniczanie.

Ale mieli oni również swoje potrzeby duchowe, które długo nie mogły zostać zaspokojone. Było tak z jednego zasadniczego powodu: Świdnik miał być miastem „bez Boga”. To oznaczało, że nie było tu kościoła, do którego wierni mogliby udać się w niedzielę. Wprawdzie w przygotowanych w 1951 r. przez architektów ogólnych planach budowy miasta, znalazła się i świątynia, ale o jej powstaniu nie mogło być mowy. Komunistyczne władze nawet nie chciały o tym słyszeć. W konsekwencji mieszkańcy musieli jeździć na niedzielne msze do kościołów w Lublinie (m.in. do katedry, kościołów św. Michała, św. Pawła, na Czwartku, kościoła oo. kapucynów) lub do kościoła parafialnego w pobliskiej Mełgwi. Najczęściej jednak polnymi ścieżkami, duktem przez las o nazwie Bażantarnia, wędrowali do odległej o kilka kilometrów wiejskiej parafii pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Kazimierzówce, gdzie znajdował się niewielki drewniany kościółek. Z czasem stała się parafią rozbudowującego się Świdnika (obejmowała wsie: kolonia Adampol, Kazimierzówka, kolonia Kalinówka, kolonia Kliny, Krępiec, Nowy Krępiec, kolonia Wilczopole).



Pierwsze starania o to, aby zmienić tę sytuację, podjął w 1957 r. ks. Franciszek Sysa, który postanowił kupić stodołę w Świdniku (usytuowaną na działce Józefa Puszeki), aby następnie zaadaptować ją na tymczasową kaplicę. Jednak miejscowe władze uniemożliwiły realizację tego planu, nakładając karę grzywny i nakazując rozebranie zakupionej stodoły (rzekomym powodem takiej decyzji miały być przepisy przeciwpożarowe). Kolejną inicjatywę w tym zakresie podjął ks. Józef Bieńkowski, administrator parafii w Kazimierzówce, który postanowił zakupić willę „Bożenna”, należącą do Wandy Papiewskiej, siostry działacza Komunistycznej Partii Polski (KPP) i filozofa Jana Hempla, aby zorganizować w niej tymczasową kaplicę. Ale i ten pomysł nie „wypalił”, bo władze (a konkretnie Zarząd Gospodarki Komunalnej w Świdniku) doprowadziły wcześniej do jej przejęcia. Dlatego inicjatorzy budowy kościoła

wybrali akurat willę „Bożenna”? Wydaje się, że w tym przypadku kluczowym argumentem za jej wyborem mogła być osoba właścicielki.

Wanda Papiewska jeszcze sprzed wojny знаła pochodzącego z Lublina Bolesława Bieruta, który był prezydentem komunistycznej Polski. W jego kancelarii pracował też mąż Papiewskiej, a jej samej wielokrotnie udawało się skutecznie interweniować u Bieruta w sprawach, o które prosili ją okoliczni mieszkańcy. Być może więc inicjatorzy tego przedsięwzięcia liczyli na to, że i tym razem Papiewska zwróci się do przywódcy komunistycznej Polski. Nawet jeśli do tego doszło, to interwencja okazała się nieskuteczna.

Po tym fakcie mieszkańcy Świdnika zaczęli coraz częściej pisać petycje do władz różnego szczebla, aby zgodziły się wreszcie na kościół w mieście. Prośby te również nie przynosiły oczekiwanego rezultatu. Komuniści byli po prostu nieugięci i nie chcieli się na to zgodzić.

Nowe starania zainicjowane zostały z chwilą, gdy administratorem parafii w Kazimierzówce został ks. Jan Hryniewicz. W lutym 1971 roku wraz z delegacją swoich parafian przekazał on petycję w tej sprawie samemu premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi, komunikując mu jednocześnie, że budowę kościoła w Świdniku poparła zdecydowana większość mieszkańców (pod petycją znalazły się podpisy przedstawicieli 4600 rodzin spośród 5000 zamieszkujących wówczas Świdnik). Ogromną rolę w akcji zbierania podpisów pod wspomnianą petycją odegrały miejscowe kobiety. W tej grupie były np. Jadwiga Kańczugowska, p. Danielak, Helena i Aniela Kijanka, które nie tylko zachęcały do składania podpisów i je osobiście zbierały, ale także monitorowały całą sprawę, interweniując u biskupa lubelskiego Piotra Kałwy a nawet u Przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie Pawła Dąbka. Zapewne bez ich zaangażowania i odwagi akcja nie zakończyłaby się sukcesem.

Po tym, jak ks. Hryniewicz przekazał petycję premierowi Piotrowi Jaroszewiczowi, władze miały jeszcze większy „orzech do zgryzienia”. Jednak i tym razem postanowiły nabrać „wody w usta”. Trwało to jeszcze przez jakiś czas, ale w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych sytuacja polityczna w kraju zaczęła się nieco zmieniać, przynajmniej w relacjach pomiędzy władzami a Kościołem. Stosunki te zaczęły ulegać pewnej poprawie, której nie dało się nie

zauważyć. Rządzący zgodzili się m.in. na przekazanie na ziemiach zachodnich świątyń i kaplic oraz części poniemieckich budynków. Umorzyli również Kościołowi zaległości podatkowe z lat poprzednich. Zaczęli wreszcie coraz częściej godzić się na nowe świątynie. Nie dziwi zatem to, że 29 sierpnia 1975 r. wojewoda lubelski wydał wreszcie zezwolenie na budowę kościoła w Świdniku.



W pierwszym etapie postawiono drewniany barak, który miał pełnić funkcję tymczasowej kaplicy. Bardzo szybko okazało się, że wierni się w niej nie mieszczą, dlatego postawiono ołtarz polowy. W takich warunkach odbywały się codzienne msze. Pierwsza została odprawiona 26 czerwca 1977 r., a sprawował ją biskup lubelski Bolesław Pylak w obecności prawie 15 tysięcy ludzi. W istocie była to w ogóle premierowa msza, jaką odprawiono na terenie miasta. I dlatego właśnie miała ona historyczny wymiar.

Tymczasem ruszyła budowa kościoła. Zaprojektowano go jako dwupoziomową świątynię na planie koła. Autor projektu, prof. Leopold Taraszkiewicz z Politechniki Gdańskiej, chciał, aby dzięki takiemu rozwiązaniu



mogła ona w przyszłości pomieścić wszystkich wiernych. 17 września 1978 r. doszło do innego symbolicznego aktu związanego z budową. Sufragan lubelski bp Zygmunt Kamiński dokonał uroczystego wmurowania kamienia węgielnego. Wydarzenie zgromadziło tłumy świdniczan.

Budowa od początku napotykała na trudności. Kłody rzuciły nie tylko lokalne władze, problemem był też brak odpowiednich funduszy. Dzięki ofiarności mieszkańców tę przeszkodę po jakimś czasie udało się pokonać. W pierwszej kolejności powstał tzw. kościół dolny. Jego uroczystego poświęcenia dokonał 24 grudnia 1980 roku podczas wigilijnej pasterki biskup Kamiński. Formalne erygowanie parafii (pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła) nastąpiło dekretem biskupim z 12 lutego 1982 r.

Drugi etap, czyli powstanie tzw. kościoła górnego, uległ znacznemu wydłużeniu. Powodem było wyjątkowo perfidne zachowanie władz w czasie stanu wojennego, które robiły wszystko, co mogły, aby opóźnić ostateczne oddanie do użytku świdnickiej świątyni. W rezultacie budowa tzw. kościoła górnego zakończyła się dopiero jesienią 1985 roku i kilka tygodni później, znów w pasterkę, lubelski ordynariusz bp Bolesław Pylak dokonał uroczystego poświęcenia.

Ksiądz Jan Hryniewicz, który został pierwszym proboszczem świdnickiej parafii pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła, w swoich wspomnieniach zapisał tamten dzień znanymi słowami:

„Marzenia i sny stały się rzeczywistością. Bóg, dla którego zabrakło miejsca w socjalistycznym mieście, znalazł tutaj swój tron”.



Ale z tamtego dnia najbardziej cieszyli się zwykli świdniczanie, którzy na swój pierwszy kościół musieli czekać ponad trzydzieści lat. Tak długo nie czekali na nowe mieszkania, sklepy, szkoły, przychodnie czy inne obiekty potrzebne do normalnego funkcjonowania.

Jednak oddanie do użytku pierwszego kościoła nie zakończyło definitywnie walki. Dla mieszkańców było oczywiste, że jeden kościół to zdecydowanie za mało, jak na ich duchowe potrzeby. Jeszcze zanim zbudowano tzw. kościół górny świątyni pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła, powstała inicjatywa budowy kolejnej. W rezultacie tych starań w 1982 r. uzyskano pozwolenie na budowę kościoła parafialnego pod wezwaniem Chrystusa Odkupiciela, który miał zostać usytuowany we wschodniej części miasta (przy ul. Kosynierów). Kilka miesięcy później, w czerwcu 1983 roku, ruszyły prace, które cztery lata później ostatecznie sfinalizowano. W nowej

świątyni postanowiono uczcić ks. Jerzego Popiełuszkę, kapelana „Solidarności”, bestialsko zamordowanego w październiku 1984 r., któremu poświęcono specjalną tablicę. Tego chcieli robotnicy WSK, dla których ksiądz Jerzy zawsze był wyjątkową postacią.

Jesienią 1988 r. z inicjatywy świdniczan biskup lubelski Bolesław Pylak wystąpił o zgodę na budowę kolejnego kościoła w Świdniku. Tym razem chodziło o lokalizację na osiedlu Adampol, gdzie utworzono parafię pod wezwaniem Świętego Józefa Opiekuna Rodzin. Tym razem władze nie zastanawiały się zbyt długo i w lutym 1989 roku wydały zgodę. Trwały już obrady Okrągłego Stołu i polityka władz nawet w tym zakresie zaczęła się zmieniać. Nadchodziły nowe czasy.

Na pewno walka o kościół w mieście była jedną z najdłuższych i najbardziej zażartych batalii toczonych przez mieszkańców Świdnika. Wpisywała się ona w walkę, jaką Polacy w okresie PRL prowadzili z komunistycznym systemem.



ROZDZIAŁ II

Korzenie buntu

Miasta tworzą społeczności, które kształtują się na przestrzeni wieków. Na intensywność tego procesu wpływa bardzo wiele czynników. Ale najważniejszymi z nich są zawsze te, które decydują o jego integracji. Może się ona odbywać na różnych poziomach i w różnych obszarach życia społecznego, politycznego, gospodarczego i kulturalnego. Bardzo często integracja mieszkańców dokonuje się wokół idei i spraw, ważnych z ich perspektywy. Dotyczy to zwłaszcza miast, które nie mają zbyt długiej historii. Podobnie było ze Świdnikiem, który powstał „na bazie” WSK, jednego z najważniejszych zakładów branży komunikacyjnej w komunistycznej Polsce.

Z procesem kształtowania się społeczności Świdnika mamy do czynienia od chwili powstania tego miasta, a być może nawet zanim jeszcze uzyskało ono ten status. Proces ten był jednak znacznie bardziej dynamiczny niż w przypadku innych nowych miast, jakie powstawały w tamtym czasie w Polsce. Stało się tak głównie dlatego, że Świdnik zbudowano znacznie szybciej. Być może pośpiech podyktowany był zamiarem władz, by stworzyć jeden z pierwszych, o ile w ogóle nie pierwszy, pomnik osiągnięć nowego systemu. To uwiarygodniłoby komunizm w oczach Polaków. Władze, podobnie jak w przypadku innych nowych miast, które miały zostać pomnikami systemu, założyły, że ludzie przybywający do Świdnika, nie będą tworzyć społeczności w tradycyjnym jej rozumieniu, czyli takiej, w której będą występowały silne więzi wynikające ze wspólnoty interesów i potrzeb, a także z poczucia zakorzenienia i przynależności do zamieszkiwanego miejsca. Były przekonane, że napływowych uda się szybko zideologizować i stworzyć z nich wzorcową społeczność wzorcowego „socjalistycznego miasta”, jakim miał się stać Świdnik. Ale nie wyszło tak, jak chciały władze, bo nie mogło się to udać.

Rosnąca społeczność Świdnika z upływem kolejnych lat coraz bardziej stawała się wspólnotą i to w tradycyjnym rozumieniu, które władze odrzuciły.

Działo się tak za sprawą intensywnych procesów integracji, jakie zachodziły w mieście. Pierwszym z nich i zdecydowanie najważniejszym była konsolidacja wokół WSK, w której pracowała zdecydowana większość mieszkańców. Nie tylko dlatego, że wytwórnia była ich jedynym żywicielem (79 proc. rodzin żyło z pracy w WSK), ale również z powodu sytuacji w zakładzie, istniejącej w nim organizacji pracy, systemu płac, specyfiki jego produkcji i bieżących problemów, a także perspektyw rozwoju, które najbardziej interesowały świdniczan.

Inną, ale równie ważną płaszczyzną integracji, była sytuacja w mieście, co w praktyce dotyczyło wszelkich spraw związanych z warunkami egzystencji i jej perspektywami. Rozmowy o tym, jak zdobyć mieszkanie i jak je urządzić, gdzie wysłać dzieci do żłobka, przedszkola czy szkoły, jak skorzystać z porady lekarza, a jeszcze bardziej lekarza specjalisty, gdzie dokonać niezbędnych zakupów, w jaki sposób spędzić czas wolny od pracy, także mocno scalały miejscową społeczność.

Integracja odbywała się również wokół ważnych wydarzeń, jakie działały się w mieście. Pokazy lotnicze przyciągały całe rodziny, koncerty znanych zespołów, spotkania z wielkimi artystami, zwłaszcza tymi, których można było dotąd oglądać na ekranach telewizorów, czy odbywające się imprezy sportowe i mecze, zwłaszcza te z udziałem zawodników Avii, łączyły mieszkańców równie mocno jak warunki egzystencji w mieście.

Bardzo szybko pojawiła się jeszcze jedna płaszczyzna integracji, za to bardzo ważna, zwłaszcza w kontekście wydarzeń, do jakich dojdzie w Świdniku w późniejszych latach. To sprawa budowy kościoła, którego – jak już wspomnieliśmy – początkowo nie było. Komunistyczne władze chciały „miasta bez Boga”. Tymczasem przybywający za pracą w zdecydowanej większości wywodzili się ze środowisk wiejskich, dla których przywiązanie do wiary katolickiej i związanej z nią tradycji, było sprawą niezwykle istotną. Nie mogło zatem dziwić, że już od pierwszych lat istnienia ośrodka, jego mieszkańcy poszukiwali możliwości zaspokojenia swoich potrzeb. Do tego niezbędny był kościół. Idea jego powstania zaczęła również mocno integrować świdniczan. Czuli, że ich starania, to jak najbardziej słusza sprawa, której za nic nie mogą porzucić. Wielu z nich, angażując się, ryzykowało zwolnieniem

z pracy i innymi dotkliwymi represjami, jakie mogły nałożyć komunistyczne władze. Ryzykowali jeszcze bardziej, czynnie włączając się w akcje zbierania podpisów pod petycjami w sprawie budowy kościoła, które wysyłano do władz różnego szczebla, partyjnego i państwowego. Pomimo że petycje nie przynosiły oczekiwanego rezultatu, silnie oddziaływały na postawę mieszkańców. W efekcie, u progu lat siedemdziesiątych, zdecydowana większość z nich czynnie udzielała się w tej sprawie. Gdy w 1970 roku nowym administratorem parafii w pobliskiej Kazimierzówce został ksiądz Jan Hryniewicz, świdniczanin zyskali w nim prawdziwego przywódcę w swojej walce. W tym przypadku ważna okazała się osobowość kapłana. Cechowała go prawdziwa niezłomność i wielka roztropność, której wszystkich uczył. Urodził się w 1917 roku w rodzinie ziemiańskiej o patriotycznych tradycjach, która od dziesiątek lat zamieszkiwała Wileńszczyznę. Zanim został księdzem doświadczył wielu tragedii, jakie przyniosła Polakom II wojna światowa. Jak mówił po latach, w jej trakcie przeżył potrójną okupację: sowiecką, niemiecką i po raz kolejny sowiecką. Gdy w październiku 1939 r. wojska sowieckie zajęły Wileńszczyznę, jego rodowy majątek został rozgrabiony przez Sowietów, a członków jego rodziny (matkę, rodzeństwo) aresztowano i wywieziono do łagrów za kołem polarnym. Jemu samemu udało się w ostatniej chwili uciec przed wywózką i po wielu przygodach dotrzeć do Lwowa. Jednak i stamtąd niebawem musiał uciekać, obawiając się aresztowania przez NKWD. Trafił wówczas do Białegostoku, skąd potem powrócił w rodzinne strony. Nie mógł tam pozostać zbyt długo. Żył wówczas w ekstremalnych warunkach: bez pracy i stałego miejsca zamieszkania, przemieszczając się z miejsca na miejsce, ciągle w obawie przed możliwym aresztowaniem. Na jakiś czas uratowała go wojna niemiecko-sowiecka, która zaczęła się 22 czerwca 1941 roku, gdy niemiecki Wehrmacht zaatakował Związek Sowiecki. W czasie okupacji niemieckiej Hryniewicz przebywał w Wilnie, a potem w Trokach. Omal nie został wtedy wywieziony na roboty przymusowe do III Rzeszy. Pomocy udzielili mu dobrzy ludzie. Pracował potem na kolei. Uniknął śmierci z rąk sowieckich partyzantów, którzy chcieli go zastrzelić. Gdy w czerwcu 1944 r. na tereny Wileńszczyzny wkroczyli ponownie Sowieci, Hryniewicz znowu zaczął obawiać się aresztowania. Los i tym razem oszczędził mu czarnego scenariusza. W styczniu 1945 r. udało mu się uzyskać kartę repatriacyjną, z którą wyjechał do Polski, tyle że ta była już we władaniu komunistów. Hryniewicz znalazł się w Lublinie i właśnie tam zdecydował się wstąpić do seminarium duchownego. Po tym, jak w 1950 r. otrzymał

święcenia kapłańskie, przez kolejne lata pracował w parafiach w Janowie Lubelskim, potem w Zaklikowie, Kazimierzu Dolnym, a następnie w Chelmie. Jego charyzmatyczna osobowość i spore umiejętności organizacyjne zostały dostrzeżone przez kierującego lubelską diecezją biskupa Piotra Kałwę. W 1970 r. postanowił on skierować księdza Hryniewicza do położonej nieopodal Świdnika parafii w Kazimierzówce. Kałwie chodziło o to, aby Hryniewicz zajął się sprawą kościoła w Świdniku, na budowę którego władze nie chciały wyrazić zgody. Jak wspominał po latach ks. Hryniewicz, biskup, mianując go na to stanowisko, miał skierować następujące słowa:

„Pojedziesz tam zbudować kościół. Mam do ciebie zaufanie. Ty rób, a ja będę się modlił”.



Dla doświadczonego życiem kapłana było jasne, że lubelski hierarcha powierzył mu tę misję i on musi się z niej wywiązać. Tyle, że cel tej misji, wydawał się niemożliwy do zrealizowania. Przyzwolenie na budowę kościoła w Świdniku byłoby w przekonaniu władz zarzewiem „kontrewolucji” w mieście. Na to w żaden sposób rządzący nie mogli sobie pozwolić. O tym wiedzieli zresztą wszyscy. Tę oczywistą prawdę ujęła trafnie jedna z prominentnych urzędniczek miejskiej administracji. Na pytanie zadane przez mieszkańca o to, kiedy władze zgodzą się wreszcie na budowę kościoła w Świdniku, odpowiedziała stwierdzeniem: „prędzej kaktus urośnie mi na dłoni!”. Wraz z przybyciem księdza Hryniewicza do Kazimierzówki, świdniczanie zaczęli wykazywać ogromny

entuzjazm dla idei budowy kościoła. Znalazło to swój wyraz w zainicjowanej przez niego akcji zbierania podpisów pod kolejną petycją. Na polecenie kapłana w miasto wyruszyły specjalne grupy mieszkańców, których celem miało być zebranie jak największej ilości podpisów. Efekt okazał się wręcz imponujący. Spośród zamieszkałych wówczas w Świdniku prawie 5 tysięcy rodzin, pod petycją podpisało się ponad 4,5 tys. ks. Hryniewicz, a wraz z nim wszyscy mieszkańcy, mógł się cieszyć z takiego mandatu społecznego dla idei budowy kościoła.

Na budowę kościoła potrzebne były jednak środki finansowe i to niemałe. Proboszcz Hryniewicz nie mógł z góry nakładać na mieszkańców obciążeń finansowych, bo takie posunięcie sporą część z nich zapewne by zraziło. Rzucił więc proste hasło, które okazało się niezwykle skuteczne:



„Budujemy kościół za 100 złotych!”.

Mówiąc bardziej precyzyjnie, chodziło mu o to, aby każda rodzina, która poparła budowę, zobowiązała się do przekazywania miesięcznie 100 złotych jako ofiary na ten cel. Była to kwota, która pozostawała w zasięgu możliwości finansowych świdniczan. I rzeczywiście, to lapidarne hasło od razu zadziałało.

Dzięki temu możliwe było zebranie całkiem sporej sumy, która już bardziej realnie pozwalała myśleć o budowie świątyni. Kiedy ją rozpoczęto, ks. Hryniewicz potrafił wskrzesić jeszcze większy entuzjazm mieszkańców. Wystarczył jego sygnał i na placu budowy pojawiało się od razu dwieście osób do pomocy, chociaż aż tylu rąk do pracy nie było potrzeba. W czasach, gdy notorycznie brakowało materiałów budowlanych, a władze robiły wszystko, by utrudnić ich zakup, wznoszenie kościoła było nie lada wyzwaniem. Ks. Hryniewicz był jednak niestrudzony, jeździł po gminnych spółdzielniach i dokonywał „prawdziwych cudów” w tym zakresie. Było tak dlatego, że kapłan traktował wszystkich, nawet tych, którzy reprezentowali władze, jak normalnych ludzi. Właśnie to okazywane przez niego człowieczeństwo sprawiało, że wielokrotnie udawało się mu załatwić sprawy na pozór nie do załatwienia. I tego człowieczeństwa kapłan starał się uczyć również wszystkich mieszkańców. Ale nie ograniczał się tylko do spraw związanych z budową. Był duszpasterzem głęboko zatroskanym o stan duchowy swojej „trzody”. Każdej niedzieli na swoich mszach głosił piękne patriotyczne kazania. Miały one niezwykle pozytywny wpływ na postawę wiernych. Potrafiły zmieniać ich na lepszych i umacniać pomiędzy nimi więzi, które okazały się niezwykle istotne w lipcu 1980 r. Na pewno idea budowy kościoła bardzo mocno integrowała świdniczan, ale była ważna także z innego powodu. Walcząc o świątynię, wypełniali niejako treścią swoją tożsamość, głęboko zakorzenioną w wyniesionej z domu katolickiej wierze i tradycji. Na pewno duża była w tym zasługa księdza Jana Hryniewicza, który dokonał swoistego zaktywizowania przybyłych z całej Polski do podlubelskiego miasta.

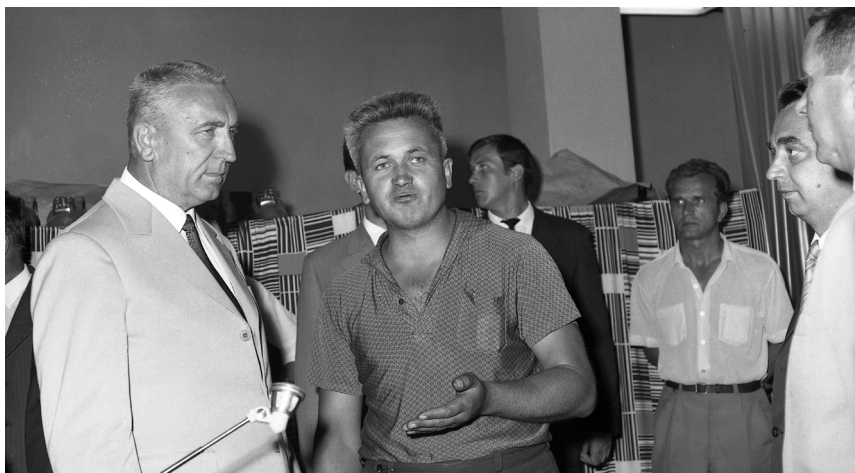


Wraz z postępującymi procesami integracji, zmieniała się również świadomość mieszkańców. I to nie tylko w wymiarze społecznym, kulturowym, ale także politycznym. Ogromny wpływ miały na to wydarzenia zachodzące w kraju, które z uwagą były śledzone w Świdniku i na bieżąco komentowane przez robotników WSK. Pierwsze dotyczyło dogorywającego wówczas podziemia zbrojnego, jakie działało w Polsce po 1944 roku. 10 lutego 1953 r. w pobliskich Piaskach funkcjonariusze MO zabili Stanisława Kuchciewicza „Wiktora”, żołnierza zgrupowania „Zapory” (mjr Hieronim Dekutowski), znanego na Lubelszczyźnie dowódcy oddziałów Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (WiN). Budujący świdnicką wytwórnię robotnicy usłyszeli o tym zdarzeniu przy okazji jednej z „masówek”, w trakcie której zakomunikowano im o zlikwidowaniu „wyjątkowo groźnego bandyty” grasującego w okolicy. Jednym z uczestników akcji „Wiktora” w Piaskach był inny legendarny partyzant Lubelszczyzny – Józef Franczak „Laluś”, którego osaczono i zastrzelono dopiero 21 października 1963 r. Według późniejszych relacji świadków zarówno „Wiktor”, jak i „Laluś” bywali w Nowym Krępcu, który stał się częścią Świdnika. Ale wątek antykomunistycznego podziemia zbrojnego pojawiał się wśród mieszkańców również dlatego, że wielu z nich osobiście się z nim zetknęło jeszcze przed przyjazdem do Świdnika. Zamieszkiwali tu także byli żołnierze oddziałów antykomunistycznego podziemia. Jednym z nich była Janina Kuligowska-Cel „Nusia”, sanitariuszka i łączniczka oddziału kpt. Stanisława Łukasika „Rysia” ze zgrupowania „Zapory”. Niewiele osób wiedziało, że artysta plastyk w domu kultury, Andrzej Żubr, to powstaniec warszawski. Inną ważną postacią był Teofil Nowosad, który przez wiele lat uczył świdnicką młodzież podstaw edukacji muzycznej, a wcześniej żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Na pewno obcowanie młodych ludzi z takimi osobami również kształtowało ich postawy, co po latach znajdowało przełożenie w ich aktywności społecznej i politycznej.

Nie wszyscy mieszkający w Świdniku byli żołnierze antykomunistycznego podziemia ujawniali swoją wcześniejszą działalność. Tak było m.in. w przypadku zatrudnionego w WSK Mariana Maliszewskiego, którego w październiku 1952 r. bezpieka aresztowała w miejscu pracy w związku z jego działalnością w niepodległościowej organizacji „Kraj”. Rok wcześniej jej członków oskarżono o dokonanie zamachu na Stefana Martykę, propagandystę Polskiego Radia (na jego falach prowadził audycję pod tytułem „Fala 49”), który 9 września 1951 r. został zastrzelony w swoim warszawskim

mieszkaniu. Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w kraju. UB zaczęło śledztwo w tej sprawie i bardzo szybko nastąpiły aresztowania działaczy „Kraju”. Zresztą bezpieka szukała ich w całej Polsce, aby następnie aresztować i poddać brutalnemu śledztwu. Przypadek Maliszewskiego potwierdza, że członków „Kraju” bezpieka szukała również w Świdniku.

Na pewno temat antykomunistycznego podziemia był obecny w świadomości mieszkańców Świdnika, a przynajmniej niemałej ich części. Czy miało to jednak znaczenie w procesie transformacji? Zapewne tak, skoro wiele lat później, gdy nastała epoka „Solidarności”, temat powojennego antykomunistycznego podziemia niejednokrotnie był przywoływany w rozmowach jako przykład niezłomnej walki o wolność. Zresztą wielu działaczy świdnickiej „Solidarności” miało rodzinne związki z tymi, którzy działali w antykomunistycznym podziemiu.



Ale to bieżące wydarzenia w kraju znacznie bardziej ogniskowały uwagę mieszkańców Świdnika. Chyba głównie dlatego, że również tutaj istniało spore oczekiwanie na polityczne zmiany w ojczyźnie. Dlatego sporym echem odbił się Październik 1956 czy Marzec 1968 r. W tym drugim przypadku władze partyjne miasta postanowiły wyjść naprzeciw oczekiwaniom Biura Politycznego KC PZPR i 12 marca 1968 r. zorganizowały w WSK masówkę, na którą „spędzono” całą załogę, która miała „żądać zdemaskowania politycznych

aferzystów organizujących ekscesy i usiłujących studentów przeciwstawić władzy ludowej i klasie robotniczej”. Tak przynajmniej obwieścił później „Głos Świdnika”, pismo samorządu robotniczego WSK. Robotnicy zrozumieli wówczas, że użyto ich jako politycznego „mięsa” tylko po to, aby partia jeszcze raz mogła uzasadnić swoje represje. Wielu mówiło potem o tej marcowej masówce, czując nieskrywane obrzydzenie.

Potem nadszedł Grudzień 1970 r., kiedy komunistyczne władze użyły broni palnej wobec robotników Stoczni Gdańskiej. Padły ofiary śmiertelne. Robotnicy świdnickiej WSK z uwagą śledzili wydarzenia na Wybrzeżu, nasłuchując wieczorami w swoich domach „wrogich” zachodnich rozgłośni, które o tym informowały. Tym razem ich odczucia zdominowała wielka trwoga. Mieli bowiem świadomość, że równie dobrze to oni mogli podzielić los stoczniowców Gdańska. Owa trwoga będzie skutecznie paraliżowała ich przez następne lata.

Po wydarzeniach na Wybrzeżu władzę w kraju przejęła ekipa Edwarda Gierka, nowego I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. Usiłował on za wszelką cenę uspokoić sytuację polityczną. I w pewnym sensie mu się to udało. Skierowane przez niego do robotników hasło: „Towarzysze, jak? Pomożecie?”, było na pewno sprytnym zabiegiem propagandowym i to takim, który na pierwszy „rzut oka” można było zaakceptować? A poza tym mówił to ktoś, kto wydawał się być wówczas zupełnie innym typem partyjnego lidera, zwłaszcza po rządach kostycznego i wrzeszczącego z mównicy Władysława Gomułki (1956–1970). Nie mogło zatem dziwić to, że nawet w Świdniku znaleźli się tacy, którzy uwierzyli w słowa Gierka i artykułowane przez niego zamierzenia. Znacznie więcej było jednak tych, którzy z rezerwą odnosili się do słów nowego pierwszego sekretarza KC PZPR. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo jak zawsze zakładowa organizacja partyjna, w imieniu „całej załogi” świdnickiej wytwórni, udzieliła Gierkowi zdecydowanego poparcia, które wyrażone zostało w skierowanym do niego telegramie. Cytując go na swoich łamach, „Głos Świdnika” podkreślał, że wszyscy robotnicy WSK przekazali towarzyszowi Gierkowi swoje zapewnienie, że

„wzmoczoną pracę i pełnym zdyscyplinowaniem będą tworzyć materialne podstawy umożliwiające [...] realizację podjętych na VII

Plenum KC PZPR decyzji dla dobra całej partii i narodu polskiego”. To był pierwszy fałszywy przekaz Gierka, z jakim musieli zmierzyć się robotnicy WSK. Część z nich (kilkuset pracowników Wydziału Narzędziowni, Obróbki Plastycznej i Obróbki Mechanicznej) dała temu wyraz już w styczniu 1971 roku, odmawiając podjęcia oczekiwanych przez władze zobowiązań produkcyjnych i oświadczając przy tym, że „nie będą pracować, bo pieniądze znowu pójdą na libacje i przyjęcia”.

Reszta załogi wołała jeszcze poczekać na efekty działania ekipy Gierka.



Jego rządy od początku naznaczone zostały nachalną propagandą sukcesu. Najważniejszym jej hasłem było dokonanie „wielkiego skoku” i „zbudowanie drugiej Polski”. Jednak za gierkowską propagandą sukcesu, którą „kupiła” początkowo spora część Polaków, nie stał żaden program gospodarczy z prawdziwego zdarzenia. Nic dziwnego, że już po paru latach polityka ta doprowadziła do załamania gospodarki. Przyczyn było wiele, ale na pewno przyczynił się do tego sam sposób zarządzania nią, który zasadniczo pozostał niezmienny od czasów Władysława Gomułki. Mieliśmy więc nadal

do czynienia ze złym zarządzaniem przedsiębiorstwami, powszechnym marnotrawstwem i kradzieżami, złą organizację handlu i dystrybucji wszelkich dóbr oraz dziesiątkami innych patologii, jakie wiązały się z funkcjonowaniem socjalistycznej gospodarki. Do tego wszystkiego doszły jeszcze nowe problemy stworzone już przez ekipę Gierka. Zaciągnięte przez nią na Zachodzie kredyty nie zostały dobrze wykorzystane. Wprawdzie pozwoliły uruchomić wiele dużych inwestycji w przemyśle, ale były one całkowicie nieprzemyślane i bardzo często niepodyktowane faktycznymi interesami kraju i potrzebami jego obywateli. Zaledwie 20 proc. zaciągniętych na Zachodzie kredytów przeznaczonych zostało bezpośrednio na inwestycje przemysłowe. O wiele więcej, bo aż 65 proc., poszło na inwestycje oparte na formule tzw. samospłaty. Polegała ona na tym, że kredyt uzyskany na zakup licencji i uruchomienie produkcji miał być spłacany dzięki eksportowi danego produktu do strefy dolarowej. Ale zazwyczaj okazywało się, że wyrobu nie można sprzedać na Zachodzie, bo licencja, na której został wytworzony, była przestarzała albo jego techniczna jakość pozostawiała wiele do życzenia. Tak było m.in. w przypadku kupionej dla Ursusa brytyjskiej licencji na ciągniki Massey-Fergusona. Wobec tego pozostawał tylko rynek krajowy lub RWPG (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej), oparty na tzw. rublu transferowym, który „na papierze” był jakoby więcej warty od dolara. Inwestycje w zdecydowanej większości okazywały się więc niewypałami. Około 15 proc. pozyskanych na Zachodzie środków pochłonęły bieżące potrzeby kraju. Odnosiło się to zwłaszcza do importu pasz, zboża i żywności, która decydowała o nastrojach Polaków. Zamrożenie cen żywności przez ekipę Gierka spowodowało ogromny wzrost popytu. Mimo stale rosnącego importu w żaden sposób nie udało się zapłacić sklepowych półek w stopniu gwarantującym równowagę rynkową. Na przykład mocno dotowana kiełbasa była wprawdzie tania, ale natychmiast znikiała ze sklepów, a władze nie mogły zrównoważyć rynku przez podniesienie cen, ponieważ obawiały się wybuchu protestów. W ten sposób rodziła się swoista kwadratura koła. Ale polityka tej ekipy wywołała jeszcze wiele innych chorób PRL-owskiej gospodarki. Jedną z nich był dramatyczny wzrost importu, który średnio rósł o połowę szybciej niż eksport. W konsekwencji tego pojawił się potężny deficyt w handlu zagranicznym, który z każdym rokiem się zwiększał. Wraz z nim rosło obciążenie polskiej gospodarki spłatą zaciągniętych kredytów. O ile jeszcze w 1973 r. obsługa zadłużenia pochłaniała 17 proc. wpływów z eksportu, o tyle trzy lata później było to już 41 proc. Gdy Gierek obejmował władzę, zadłużenie Polski wynosiło zaledwie 1,2 mld USD, w 1975 r. sięgnęło

8,4 mld USD i nadal gwałtownie rosło. Istotnym czynnikiem pogarszającej się sytuacji w kraju było również podporządkowanie całej polityki gospodarczej PRL jej zobowiązaniom wynikającym z przynależności do RWPG i Układu Warszawskiego, a nie normalnemu rachunkowi ekonomicznemu. Te wszystkie czynniki skumulowane razem zaowocowały coraz bardziej widocznym załamaniem gospodarczym, które musiało przynieść wymierne skutki. Pojawiły się strajki w zakładach pracy. Już w 1973 roku, uchodzącym za najbardziej udany dla ekipy Gierka, doszło do 75 strajków w całej Polsce. Prawdziwy moment prawdy nastał w czerwcu 1976 r., kiedy ogłoszono podwyżkę cen podstawowych artykułów spożywczych. Chcąc odróżnić się od poprzedników, Gierek postanowił nadać tej decyzji demokratyczny charakter i poprzedzić ją tak zwanymi konsultacjami społecznymi. Była to oczywiście fikcja, bo gdy 24 czerwca 1976 r. premier Piotr Jaroszewicz proponował z mównicy sejmowej debatę na temat podwyżek, dyrektywy o ich wprowadzeniu rozesłano już do wszystkich województw. To wzburzyło robotników w wielu miastach. Niemal natychmiast, bo już 26 czerwca 1976 r., doszło do ulicznych demonstracji w Radomiu (spalono gmach KW PZPR), Ursusie i Płocku. Zostały one brutalnie spacyfikowane przez siły MSW. Akcji tej towarzyszyła niezwykle agresywna propaganda, potępiająca uczestników demonstracji. Niewiele się ona różniła od tej znanej z czasów Władysława Gomułki. Sam Gierek instruował sekretarzy wojewódzkich partii, jak mają ją prowadzić, sugerując otwarcie, że należy powiedzieć załogom zakładów pracy „jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy, jak oni swym postępowaniem szkodzą krajowi”. Gierek podkreślał:

„im więcej będzie słów bluźnierstwa pod ich adresem, a nawet jeśli zażądacie wyrzucenia z zakładów pracy elementów nieodpowiedzialnych, tym będzie lepiej dla sprawy”.

I dokładnie tak uczyniono w Świdniku. Na wyreżyserowany wiec 28 czerwca 1976 r. spędzonych zostało prawie 6 tysięcy robotników WSK, którzy mieli napiętnować „nieodpowiedzialne” i „społeczne postawy” zaprezentowane przez robotników w Radomiu i Ursusie oraz domagać się stanowczo ich ukarania. Na wywieszonym na stadionie sportowym transparencie zadeklarowano

„Żałoga WSK Świdnik jest z Wami tow. Gierek!”.

Partyjny aktywista czytał treść apelu, jaki mieli przyjąć zebrani, w którym padły słowa:

„popieramy w całej rozciągłości politykę społeczno-gospodarczą wytyczoną na VI i VII Zjeździe PZPR. [...] wyrażamy swoje największe uznanie dla wszystkich ludzi pracy naszego miasta, zwłaszcza dla klasy robotniczej, za godną i patriotyczną postawę, za to, że w naszym młodym socjalistycznym Świdniku panuje atmosfera twórczej i wydajnej pracy, wysoka dyscyplina społeczna oraz ład i porządek”.

Ten wiec w Świdniku był prawdziwym cyrkiem, a biorący w nim udział zostali sprowadzeni do roli tańczących pod dyktando tresera zwierząt. I właśnie dlatego robotnicy długo nie mogli go zapomnieć.



Po stłumieniu demonstracji w Radomiu, Ursusie i innych miastach, zaczęły się masowe represje wobec ich uczestników. Komunistyczne władze postanowiły przykładowo ich ukarać. W trybie przyspieszonym kierowano wnioski do sądów i kolegów w sprawie zatrzymanych. Ich procesy miały charakter pokazowy i były mocno nagłaśniane przez reżimowe media. Ale represje uczestników czerwcowych protestów nie ograniczyły się tylko do wyroków sądów i kolegów. Nagminne były zwolnienia z pracy. Informacje o procesach i zwolnieniach docierały również do Świdnika. Jednak tym, co najbardziej wywoływało wzburzenie u tutejszych mieszkańców, było usilne wmawianie Polakom, że w kraju panuje spokój i wszystko idzie ku lepszemu. Tymczasem było coraz gorzej. Odczuwali to realnie także świdniczanie, zwłaszcza jeśli chodzi o zaopatrzenie sklepów. Nie dość, że było ich w mieście za

mało, to jeszcze na tle innych miejsc w kraju były wyraźnie gorzej zaopatrzone. Dotyczyło to w szczególności sklepów mięsnych, do których ustawiały się tasiemcowe kolejki i trzeba było mieć wiele szczęścia, aby coś kupić. Podobnie było zresztą z dostaniem cukru, nabiału, pieczywa, odzieży, środków czystości i innych produktów niezbędnych do codziennego funkcjonowania. Coraz gorsze zaopatrzenie sklepów w zestawieniu z represjami uczestników demonstracji w Radomiu i Ursusie oraz lansowaną przez ekipę Gierka wszechobecną propagandą sukcesu powodowały wzrost niezadowolenia także w Świdniku. Znajdowało to swój wyraz w codziennych dyskusjach wśród pracowników fabryki. Zdecydowana większość z nich nie miała już żadnych złudzeń co do tego, że Gierek jest innym komunistycznym przywódcą niż jego poprzednicy i że jego polityka uczyni z Polski nowoczesne, dobrze rozwijające się państwo, którego symbolem stanie się realna poprawa życia obywateli. Te odczucia ulegały już tylko wzmocnieniu.

Tymczasem w kraju miały miejsce kolejne ważne wydarzenia, wpływające na postawę Polaków. Po protestach w Radomiu i Ursusie pojawiła się demokratyczna opozycja. We wrześniu 1976 r. na kanwie organizowanej wówczas pomocy dla represjonowanych uczestników protestów założono Komitet Obrony Robotników (KOR). Jego działacze przez kilka miesięcy podejmowali różnego rodzaju akcje, domagając się od władz wypuszczenia na wolność wszystkich skazanych za udział w demonstracjach w Radomiu i Ursusie. To właśnie powstanie KOR uruchomiło proces tworzenia się tzw. demokratycznej opozycji. W następnych latach zaczęły ją współtworzyć kolejne organizacje. I tak w marcu 1977 r. doszło do zawiązania się Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), a rok później Komitetów Wolnych Związków Zawodowych (WZZ) na Śląsku i Wybrzeżu. W dalszej kolejności powstawały: w sierpniu 1979 r. Ruch Młodej Polski (RMP), a we wrześniu tego samego roku Konfederacja Polski Niepodległej (KPN). Wszystkie z nich były jeszcze organizacjami kadrowymi i zazwyczaj zakładanymi na bazie wąskich środowisk intelektualnych. Jednak obiektem oddziaływania demokratycznej opozycji stali się robotnicy. To do nich zaczęli docierać przedstawiciele opozycyjnych ugrupowań, przywożąc im swoje podziemne wydawnictwa (tzw. drugiego obiegu). Jednym z pierwszych tego typu, jakie pojawiły się w Świdniku, był KOR-owski „Robotnik”, którego kolportażem zajmowali się Andrzej Perzak i Waldemar Jakson. Skala oddziaływania podziemnych wydawnictw nie była jeszcze wówczas zbyt duża,

ale z upływem czasu systematycznie rosła. To również przyczyniło się do ewolucji świadomości robotników Świdnika. Ale z chwilą powstania demokratycznej opozycji doszło do jeszcze jednego zjawiska, którego efekty miały się pojawić dopiero w późniejszym okresie. Otóż robotnicy i inteligencja – do tej pory dość odległe sobie grupy – zaczęły nawiązywać wzajemne kontakty. Tak doszło do spotkania robotników WSK ze środowiskiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL), stanowiącym wówczas awangardę antysystemowej opozycji. Do pogłębienia tych relacji doszło jednak dopiero z chwilą powstania „Solidarności”.

We wrześniu 1978 r. wydarzyło się coś, czego nikt w Polsce, a zwłaszcza komunistyczne władze, nie mógł się spodziewać. Wieczorem 16 września wszyscy usłyszeli o tym, że podczas odbywającego się w Rzymie konklawe nowym papieżem wybrano krakowskiego kardynała Karola Wojtyłę, który przyjął imię Jana Pawła II. Wśród jego rodaków informacja ta, co zrozumiale, wywołała mocne poruszenie. Radowano się ogromnie z tego, że Polak został głową całego Kościoła katolickiego. Dla wszystkich było to ogromne wyróżnienie. Ale dla władzy – prawdziwy szok. W istocie spełnił się najczarniejszy scenariusz, którego nigdy nie brano nawet pod uwagę. Niósł on za sobą ogromne zagrożenie. Komuniści wiedzieli już, że trudno teraz będzie oderwać Polaków od Kościoła – najgroźniejszego wroga systemu. Jeszcze większe obawy wobec nowego papieża mieli Sowieci. Na Kremlu zdano sobie sprawę z tego, że papież z Polski oznacza zmianę polityki Watykanu, która będzie odtąd zagrożeniem dla całego bloku komunistycznego.

Polacy, ciesząc się z wyboru papieża Jana Pawła II, zastanawiali się jednocześnie, jakie będą skutki tego pontyfikatu. Myśleli o tym również sami



komuniści. W jednym z meldunków Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie do Centrali w Warszawie sytuację w największych lubelskich zakładach pracy, do których zaliczała się świdnicka WSK, opisano wówczas w sposób następujący:

„W ożywionej dyskusji mówi się o dużym zaskoczeniu wyborem Polaka na papieża. Liczne są głosy zastanawiające się, czy w związku z tym ulegną zmianie stosunki między Watykanem a Polską. W pojedynczych głosach wyraża się nadzieję, że nowy papież udzieli Polsce pomocy materialnej. Wśród aktywny partyjnego notuje się głosy stwierdzające że Kościół w Polsce zaktywizuje się i w związku z tym mogą pogłębić się problemy w laickim wychowaniu społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży”.

Zarówno dla komunistycznej władzy, jak i społeczeństwa, jasne było, że wcześniej czy później papież zechce odwiedzić ukochaną ojczyznę. O ile Polacy czekali na te odwiedziny od samego początku pontyfikatu, o tyle władze zdecydowanie ich nie chciały. Tyle tylko, że Jan Paweł II, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, był Polakiem, synem „tej ziemi”. Nie sposób więc było nie zgadzać się na pielgrzymkę papieża do ojczyzny. Teoretycznie sprawa wydawała się prosta, ale w praktyce wizyta papieża była potężną „zagwozdką” dla władz PRL. Ostatecznie doszło do niej dopiero po dziewięciu miesiącach od inauguracji pontyfikatu. Pierwsza pielgrzymka do kraju zaczęła się 2 czerwca 1979 r., kiedy papież wylądował na warszawskim lotnisku Okęcie. Już pierwsze minuty jego pobytu na polskiej ziemi mogły wskazywać, że będzie to wyjątkowa wizyta. Gdy po oficjalnych spotkaniach, jakie miały miejsce tamtego dnia, Jan Paweł II pojawił się na warszawskim Placu Zwycięstwa, czekały już na niego tłumy wiernych, przybyłe z wielu zakątków kraju i wyraźnie poruszone tym, że mogą zobaczyć i usłyszeć ich ukochanego papieża. Homilia na Placu Zwycięstwa od początku przerywana była oklaskami i owacjami. W jej trakcie nadszedł taki moment, gdy papież z wielkim zatroskaniem o los swojej ojczyzny wypowiedział słowa:

„Wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”.

Gdy skończył, na Placu Zwycięstwa zapanowała cisza. Zgromadzony tłum milczał w głębokim skupieniu. Okazywana wcześniej radość zamieniała się w łzy, które popłynęły po wielu policzkach. Słowa papieża swoją mocą przeszły serca tysięcy Polaków zgromadzonych na warszawskim placu. Wreszcie usłyszeli autentyczny głos troski o Polskę, głos, jakiego do tej pory nie było. Stali się wspólnotą, poczuli jej siłę. Zresztą nie tylko oni. Podobnie czuły miliony Polaków słuchających papieskiej homilii przed ekranami telewizorów. Tamte słowa jeszcze długo pobrzmiwały w ich głowach. Ale przede wszystkim znalazły się w ich sercach!

Homilia Jana Pawła II na warszawskim Placu Zwycięstwa nie była jedyną w czasie jego dziewięciodniowej premierowej pielgrzymki do Polski. Jednak to moc tamtych słów sprawiła, że Polacy przeżyli wewnętrzne przebudzenie. Widać to było dobrze w kolejnych dniach wizyty papieża w ojczyźnie. Wszędzie, gdzie się pojawiał, czekały na niego tysiące ludzi, złaknionych słów otuchy i nadziei. Tak było w Gnieźnie, Częstochowie, Krakowie, Kalwarii Zebrzydowskiej, Wadowicach, Oświęcimiu, Nowym Targu i ponownie w Krakowie, gdzie w czasie mszy na Błoniach wygłosił swoją pożegnalną homilię. Zaapelował do Polaków:

„musicie być mocni mocą wiary, nadziei i miłości”, dodając po chwili:
„zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo,
któremu na imię Polska, raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością
(...) Abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się i nie zniechęcili”!

Słowa te były swoistym dopełnieniem przesłania z warszawskiego Placu Zwycięstwa. Słowa z papieskich homilii jeszcze długo pobrzmiwały w uszach rodaków. To dzięki nim poczuli się silniejsi. Chcieli być prawdziwą wspólnotą, przestał paraliżować ich strach, coraz bardziej przeszkadzało im kłamstwo władzy. Wcześniej czy później przesłanie Jana Pawła II musiało przynieść owoce, także w Świdniku.

Jego mieszkańcy, zanim stali się prawdziwą społecznością, musieli przejść proces przyspieszonej integracji. W znacznej mierze odbywała się ona wokół ważnych dla nich spraw, takich jak sytuacja w WSK i panujące w fabryce warunki pracy i płacy. Ale nie mniejsze znaczenie miały również warunki życia

w mieście, zwłaszcza sytuacja mieszkaniowa i zaopatrzeniowa. Do integracji przyczyniały się także sprawy związane z dostępem do oświaty, służby zdrowia, rozrywki i kultury. Bardzo istotna okazała się kwestia budowy kościoła. Można powiedzieć, że najsilniej zintegrowała mieszkańców. Chyba dlatego, że była to sprawa związana z ich katolicką wiarą i tradycją, które przywieźli ze sobą do Świdnika i chcieli dalej pielęgnować.



Równolegle do procesu integracji odbywała się ewolucja ich świadomości. Bazowała ona na doświadczeniach związanych z zachodzącymi w kraju wydarzeniami politycznymi, jak te w październiku 1956, marcu 1968, grudniu 1970 i czerwcu 1976 roku. Ważnym czynnikiem w tym procesie okazała się sytuacja gospodarcza w kraju, która zawsze najbardziej przekłada się na codzienne życie, bo de facto warunkuje jego poziom. Potem doszedł kolejny impuls – ze strony Kościoła katolickiego. Z pewnością starania o budowę świątyni, nie tylko jednoczyły mieszkańców, ale też wywierały ogromny wpływ na ewolucję ich świadomości i to zarówno w wymiarze religijnym, jak i politycznym. Oto bowiem okazało się, że komunistyczna władza jest przeciwna kościołowi, który zapewniałby niezbędną przestrzeń dla pielęgnowania wiary i tradycji. Dlatego długo nie chciano się zgodzić na budowę. Siłą rzeczy świdniczanie zaczęli postrzegać cały system jako wrogi. Ważny był również bieżący głos Kościoła, czy to spotykanego na co dzień księdza Jana Hryniewicza, czy papieża Jana Pawła II podczas jego pierwszej pielgrzymki do Polski. Słowa wypowiedziane przez niego na warszawskim Placu Zwycięstwa w istocie wzywały do walki o zmianę komunistycznego ustroju. Do tego wybrzmiały one w momencie, kiedy poparcie dla rządzących (za sprawą narastającego kryzysu gospodarczego) zaczęło gwałtownie spadać. To musiało przynieść efekt. I rzeczywiście, w lipcu 1980 roku świadomość robotników Świdnika uległa ewolucji na tyle, że byli już gotowi do podjęcia swojego buntu.

Rozdział III

Świdnicki Lipiec

Dochodziła godzina 9.30, gdy 8 lipca 1980 roku wśród robotników świdnickiej WSK zapanowało spore poruszenie. Stało się tak za sprawą nowych cen artykułów spożywczych w zakładowym bufecie, które nieoczekiwanie znacząco wzrosły. Cena cieszącego się zawsze największym wzięciem kotleta schabowego podskoczyła z 10 zł i 20 groszy aż do 18 zł i 10 groszy, a więc prawie o 80 proc. Tę drastyczną podwyżkę jako pierwsi zauważyli pracownicy Wydziału Obróbki Mechanicznej W-320, którzy jak zwykle w czasie przerwy śniadaniowej udali się do zakładowego bufetu. Wzburzeni tym faktem postanowili przerwać swoją pracę. Zaczęli gorąco dyskutować na temat zasadności wprowadzonych podwyżek. Wielu z nich podnosiło, że w żaden sposób nie zostały one zrekompensowane przyznaniem im odpowiedniego ekwiwalentu w płacach. Pół godziny później do grupy, która przerwała pracę, dołączyli koledzy z sąsiednich wydziałów świdnickiej wytwórni. Około godziny 11 tych, którzy przerwali pracę, było już prawie trzy tysiące. W zaistniałej sytuacji kierownicy poszczególnych pionów produkcyjnych wraz z aktywistami zakładowej PZPR rozpoczęli z protestującymi rozmowy, usiłując namówić ich do powrotu na stanowiska. Na niewiele się to jednak zdało, bo około południa protest obejmował już prawie całą pierwszą zmianę.

Zgodnie z żądaniami protestujących około godziny 13 zaczęły się rozmowy z dyrekcją zakładu i lokalnymi władzami partyjnymi. Uczestniczył w nich przybyły do Świdnika I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Lublinie Eugeniusz Grabiec. Pracowników reprezentowały wyłonione przez wszystkie wydziały delegacje. Z ich strony pod adresem dyrekcji i władz partyjnych padały postulaty dotyczące ważnych dla protestujących spraw. Cofnięcie wprowadzonych podwyżek lub wypłata stosownego ekwiwalentu nie były oczywiście jedynym postulatem. Domagano się także poprawy zaopatrzenia w mięsie, zwłaszcza w artykuły spożywcze oraz lepszej ich jakości. Wśród żądań znalazły się także te, które dotyczyły organizacji pracy w zakładzie,

istniejącego marnotrawstwa i odpowiedzialności za nie oraz niedostatecznego kontaktu dyrekcji z załogą. Protestującym obiecano zawiesić wprowadzone w zakładowym bufecie podwyżki i powołać specjalną komisję, która miała zbadać wszystkie zgłoszone postulaty i wnioski załogi. Po tym spotkaniu zdecydowana większość pracowników pierwszej zmiany zdecydowała się opuścić zakład. Gdy około godziny 15 zaczęli szykować się do wyjścia, mogło się wydawać, że sytuacja w WSK rozejdzie się niejako „po kościach” i niebawem wszystko wróci do swojego normalnego rytmu. Ale tak się nie stało. Nieliczne grupy tych, którzy zdecydowali się na pozostanie na terenie zakładu, nie chcieli, aby protest zakończył się jedynie na obietnicach, jak wiele wcześniejszych prawdopodobnie bez pokrycia. W ich postawie dało się zauważyć determinację do tego, aby strajk kontynuować. To właśnie dzięki tym grupom, strajk przeniesiono także na drugą zmianę. Dość szybko objął większość podstawowych wydziałów produkcyjnych zakładu. Władze miały jeszcze nadzieję, że dzięki specjalnej grupie złożonej z aktywu partyjnego wywarta zostanie skuteczna presja na załogę, by ta zmieniła w końcu swoje nastawienie. Władze postanowiły również zadbać o sytuację bieżącą w mieście, błyskawicznie poprawiając zaopatrzenie sklepów. Było to możliwe dzięki wydany w trybie natychmiastowym dyrektywom, które obligowały państwowe centrale handlu do „rzucenia” dużej ilości mięsa i wędlin do świdnickich sklepów. Wieczorem tamtego dnia władze wierzyły jeszcze, że dzięki tym posunięciom sytuacja się unormuje.

Rankiem 9 lipca okazało się, że pracę w WSK podjęło zaledwie 10 procent załogi pierwszej zmiany. Pracownicy większości głównych wydziałów (mechanicznego, montażu, narzędziowni), w liczbie około 4 tysiący, postanowili nie przystępować do zawodowych obowiązków. Niemal od razu zakładowy aktyw partyjny ruszył do boju, kierując do robotników apele o podjęcie pracy. Na reakcję strajkujących nie trzeba było zbyt długo czekać. Z ich strony w stronę partyjnych aktywistów posypały się stwierdzenia w rodzaju:

„jeśli władze się nie spieszą z rozwiązaniem sporu, to my też mamy czas”.

W tej sytuacji zablokowano zakładową centralę telefoniczną, odcinając tym samym WSK od świata zewnętrznego. To musiało spotkać się z reakcją strajkujących. Około godziny 9 zaczęli oni gromadzić się w rejonie zakładowego biurowca. Niebawem było ich tylu, że na placu zaczynało brakować miejsca.

Stali zbici w jedną masę, człowiek przy człowieku. I wtedy zaczął się spontaniczny wiec. W pewnym momencie strajkujący zaczęli śpiewać. Najpierw były to zwykle krotocwilne przyśpiewki pod adresem Rady Zakładowej. Kiedy jednak z gardeł zgromadzonych dobyły się słowa: „Wyklęty powstań ludu ziemi...”, a zaraz potem „Boże coś Polskę”, stało się coś niezwykłego. Jak wspominał po latach Zbigniew Puczek, jeden z uczestników wiecu i liderów świdnickiego strajku, był to śpiew

„będący naszą determinacją, wiarą, pogardą i zespoleniem się, śpiew mokry od łez nabrzmiałego żalu i gorczy”. Zdaniem Puczka „te pieśni śpiewane z taką mocą, [...] nie mogły nie wywrzeć skutku”.

Strajkujący poczuli się autentycznie zjednoczeni i zmobilizowani do kontynuowania protestu, aby doprowadzić go do skutecznego końca.

Około godziny 13 do zgromadzonych przed zakładowym biurowcem przybyli: minister przemysłu maszynowego Aleksander Kopeć, wojewoda lubelski Mieczysław Stępień, dyrektor WSK Jan Czogała oraz szefowie komitetu zakładowego PZPR i miejscowej Rady Zakładowej. Każdy przemawiał do zebranych, informując o tym, jakie działania zostały już podjęte i jakie są planowane w celu poprawy sytuacji zaopatrzeniowej w mieście. Deklarowali również zamiar ukarania winnych wszystkich zaniedbań w tym zakresie. Jeśli chodzi o inne problemy, wyartykułowane przez protestujących, jak np. obowiązujący w zakładzie system płac, padły obietnice ich stopniowego rozwiązywania, ale uzależniono to od wydajnej pracy całej załogi, która – jak podkreślił wojewoda Stępień – winna szybko wrócić do pracy. Po tych wystąpieniach przedstawiciele władz wśród robotników zapanowało milczenie, ale zaraz potem przerwały je gwizdy i okrzyki w rodzaju: „chcemy jeść”, „chcemy pracy i godziwego zarobku”, „dajcie płace”. W tej sytuacji władze, czując bezradność, zasugerowali protestującym, aby rozeszli się po wydziałach i spisali swoje żądania. Tak też się stało. Zebrano łącznie aż 568 postulatów. Niektórzy nawet twierdzą, że było ich znacznie więcej. Niebawem pracę zakończyła pierwsza zmiana. Podczas drugiej postanowiono kontynuować strajk. Władze starały się ponownie wywrzeć presję na załogę. Do działania przystąpiła Służba Bezpieczeństwa, której oficerowie rozpoczęli rozmowy z najbardziej aktywnymi przywódcami strajku, usiłując za wszelką cenę zmusić ich do rezygnacji z udziału w nim. W trakcie tych



negocjacji groźby i szantaże wobec strajkujących były na porządku dziennym. Podobne rozmowy prowadzili z protestującymi również szefowie zakładowej organizacji partyjnej. Bardzo często odbywały się one w domach robotników i osobiście brał w nich udział wojewoda. Miały one nieco inny przebieg. W zamian za odstąpienie od udziału w strajku oferowano jego uczestnikom różnego rodzaju dobra, a jeśli i one nie odnosiły oczekiwanego skutku, straszono zwolnieniem z pracy. Tak było m.in. w przypadku Zofii Bartkiewicz, która w późniejszej fazie strajku weszła do grona jego przywódców. Jednak wszystkie tego

typu rozmowy nie odwiodły od działania najbardziej aktywnych uczestników. Głównie dlatego, że chcieli oni za wszelką cenę okazać solidarność z resztą załogi, której zdecydowana większość chciała kontynuować rozpoczęty strajk.

10 lipca był trzecim dniem strajku w świdnickiej WSK. Na pierwszej zmianie strajkowało blisko 4 tysiące pracowników, a na drugiej – prawie tysiąc. To w zupełności wystarczyło do tego, aby świdnicki protest mógł trwać. I rzeczywiście był on kontynuowany. Tamtego dnia miały zresztą miejsce ważne zdarzenia. Z samego rana swoją pracę zaczęła komisja powołana przez władze do rozpatrzenia zgłoszonych przez strajkujących wspomnianych 568 postulatów, dokonując ich selekcji. W rezultacie przyjęto 110 najbardziej istotnych, które następnie zgłoszono do dyrekcji zakładu, władz miasta, województwa i władz centralnych w Warszawie. Jednak pomimo tego atmosfera w świdnickiej fabryce była nadal napięta. Oliwy do ognia dołał incydent, jaki wydarzył się przed budynkiem dyrekcji, gdzie toczyła się narada. Jej tematu strajkujący nie znali nawet w przybliżeniu. W pewnym momencie grupie stojących pod obiektem robotników zagrożono zwolnieniami, jeśli natychmiast nie rozpoczną pracy na swoich stanowiskach. Wywołało to ich silne wzburzenie. W efekcie tego

incydentu strajkujący zwołali nowy wiec, który zaczął się pomimo czynionych przez władze zakładowe przeszkód. Wzięło w nim udział co najmniej 800 robotników. W imieniu strajkujących przemawiali Zofia Bartkiewicz i Zbigniew Puczek. Szczególnie ważny okazał się głos Bartkiewicz, która chcąc dodać otuchy, zwróciła się z apelem:

„Nie dajmy się skłócić”, bo jak podkreśliła „razem tworzymy jedną wspólną rodzinę”.

To były słowa wypowiedziane w odpowiednim miejscu i czasie. Zrozumieli je wszyscy. Ale Bartkiewicz namawiała też o zachowanie porządku na terenie całego zakładu, aby nie dawać władzom żadnego pretekstu do interwencji sił porządkowych. Równie ważny okazał się głos Zbigniewa Puczka, który z kolei zaapelował o wybranie przedstawicieli do rozmów z dyrekcją oraz niedopuszczenie do jakichkolwiek prowokacji na terenie wytwórni. W pewnym momencie strajkujący zaczęli śpiewać patriotyczne i religijne pieśni. Kiedy zaintonowali „Boże coś Polskę”, razem z nimi śpiewały przybyłe pod zakład rodziny pracowników WSK. Była to kolejna z tych chwil, kiedy strajkujący mogli poczuć prawdziwą wspólnotę i jej siłę. Chwila psychologicznie mająca ogromne znaczenie z perspektywy tego, co wydarzyło się później.

W drugi dzień strajku w południe do WSK przybył minister przemysłu maszynowego Aleksander Kopeć. Sądzone, że wspólnie z dyrekcją podejmie on rozmowy z czteroosobowym Komitetem Postojowym wyłonionym przez strajkujących (na nazwę Komitet Strajkowy władze stanowczo nie wyraziły zgody). Ostatecznie jednak do nich nie doszło, bo władze nie uznały komitetu. Mało tego, z ich inicjatywy podjęto działania, których prawdziwym celem było rozbicie jedności strajkujących. Do wykonania tego zadania szukano ochotników wśród biorących udział w wiecu. Do zakładu przybyła również specjalna grupa SB z Lublina, której celem miało być uruchomienie siatki swoich tajnych współpracowników. Mieli oni nie tylko pozyskiwać bieżącą wiedzę o zamierzeniach protestujących, ale też identyfikować osoby odpowiedzialne, za – jak to określono w raportach – „utrzymanie napięcia” w zakładzie. Chodziło o to, aby po raz kolejny przeprowadzić z nimi tzw. rozmowy ostrzegawcze i za wszelką cenę zmusić do wycofania się ze strajku. Władze zmobilizowały także spore siły MO i zakładowe ORMO, które miały czekać w gotowości do

działania. Coraz bardziej obawiały się, że sytuacja w świdnickiej wytwórni może im się rzeczywiście wymknąć spod kontroli.

Trzeciego dnia strajku sytuacja w WSK była nadal napięta. Robotnicy zdawali sobie sprawę, że nie mogą się wycofać z rozpoczętego strajku. Natomiast władze zaczęły rozważać różne scenariusze interwencji. Jednak żaden z nich nie uzyskał wystarczającego uznania, aby można go było natychmiast wcielić w życie.



11 lipca był czwartym dniem protestu. Zaczął się od wydanego przez dyrekcję polecenia nakazującego kierownikom poszczególnych wydziałów wyłonienie trzyosobowych delegacji do prowadzenia rozmów. W ten sposób w sali konferencyjnej budynku dyrekcji zebrało się prawie 250 reprezentantów załogi, którzy wyłonili spośród siebie nowy Komitet Postojowy. Wszystko odbyło się pod presją władz, które cały czas wywierały wpływ na ostateczny kształt personalny tego gremium. Niemal jednocześnie pod gmachem zgromadziło się około 1000 pracowników, głównie z wydziałów produkcyjnych

WSK. Do zebranych wyszli przedstawiciele Rady Zakładowej oraz Komitetu Postojowego. Wchodząca w skład jego prezydium Zofia Bartkiewicz zaapelowała do zebranych o powrót do pracy, tłumacząc to potrzebą uniknięcia dalszych strat, związanych z przerwaniem produkcji. Bartkiewicz wyjaśniła, że postulaty załogi są wciąż rozpatrywane i będą sukcesywnie wcielane w życie. Ale niebawem pojawiła się zupełnie inna propozycja. Zgłosił ją Zbigniew Puczek, który zaproponował ponowne wybranie delegatów z poszczególnych wydziałów (z każdego po siedem osób) i co najmniej trzech do prowadzenia rozmów

z dyrekcją. Była to dla strajkujących kolejna kryzysowa chwila. Ostatecznie jednak udało się przeforsować wybory nowych delegatów, a także tych, którzy mieli usiąść do bezpośrednich rozmów z dyrekcją. Protestujący utworzyli również Robotniczą Straż Przemysłową, której komendantem został Zbigniew Puczek. Miała ona zadbać nie tylko o porządek na terenie zakładu, ale także zapewnić bieżącą łączność z Komitetem Postojowym. Na jego czele stanęło ostatecznie trzyosobowe prezydium w składzie: Zofia Bartkiewicz (przewodnicząca) Zygmunt Karwowski (wiceprzewodniczący) i Roman Olcha (sekretarz). Obok nich do komitetu weszli jeszcze: Eugeniusz Antoniewicz, Wiesław Bielak, Bolesław Cużytek, Zbigniew Dankiewicz, Witold Iwanicki, Józef Kępski, Ryszard Krzyżanek, Ryszard Kuć, Jan Leśniak, Zdzisław Oleszczuk, Adam Oleszek, Marian Pęcak, Stanisław Pietruszewski, Stefan Płowaś, Zbigniew Puczek, Urszula Radek oraz Grzegorz Stankiewicz. Dopiero po tych decyzjach mogły rozpocząć się negocjacje z władzami, które reprezentowali: dyrektor Jan Czogała, wojewoda lubelski Mieczysław Stępień, dyrektor Zjednoczenia Przemysłu Lotniczego i Silnikowego Krzysztof Kuczyński. Uczestniczyli w nich ponadto Zdzisław Mazur ze Związku Zawodowego Metalowców i Mieczysław Koc, przedstawiciel samorządu robotniczego w WSK.

Negocjacje trwały prawie osiem godzin i nie były łatwe dla żadnej ze stron. Władze robiły wszystko, aby jak najmniej ustąpić Komitetowi Postojowemu. Lista żądań obejmowała 110 postulatów (pierwotnie liczyła aż 568 pozycji), co siłą rzeczy wydłużało prowadzone rozmowy. Podstawowy postulat dotyczył podwyżki płac. W kolejnych domagano się m.in. zmniejszenia różnic płacowych w zakładzie, podniesienia najniższych wynagrodzeń, podwyższenia dodatków rodzinnych, jasnych zasad przeszerzegowania, ujednolicenia systemu emerytalnego, wydłużenia urlopów macierzyńskich, 6-godzinnego czasu pracy dla matek mających małe dzieci (poniżej 8 roku życia), przejrzystego systemu podziału dóbr materialnych i lepszych świadczeń socjalnych. Wiele postulatów dotyczyło poprawy zaopatrzenia w mieście, zwłaszcza w artykuły żywnościowe. Jednak nie wszystkie żądania dotyczyły spraw socjalnych. Były również takie, które swoich zakresem obejmowały inne obszary codziennego życia, jak np. zlikwidowanie korupcji w świdnickim lecznictwie. Inne zahaczały o szeroko rozumianą sferę wolności słowa. W każdym razie tak ogromna liczba postulatów powodowała, że negocjacje dla obu stron nie były łatwe. Widać to było już na samym początku, gdy jedni i drudzy zasiedli do stołu obrad w sali

Rady Zakładowej WSK. Negocjacje były swoistym „pojedynkiem”, w którym nikt nie chciał przegrać. Nic dziwnego, że prezentacji poszczególnych postulatów towarzyszyło najczęściej stanowcze „nie”. Kiedy któryś z punktów okazywał się mocno dyskusyjny, w odwodzie Komitetu Postojowego znajdowali się jeszcze łącznicy. Dzięki nim, zgromadzeni przed budynkiem na bieżąco byli informowani o postępie rozmów, ale działało to też w drugą stronę – przedstawiciele Komitetu Postojowego mogli poznać opinię strajkujących w sprawie realizacji konkretnego postulatu. Za pośrednictwem łączników płynęła zachęta do nieustępowania i wytrwania w przyjętej strategii. Tymczasem władze zakładały, że negocjując z małą grupą łatwiej sobie poradzą, choćby umiejętnie wywierając na nią presję. Szybko jednak musiały zweryfikować to założenie, ponieważ przedstawiciele Komitetu Postojowego okazali się nad wyraz trudnymi przeciwnikami i swoją determinacją udawało się im zmusić władze do znaczących ustępstw. Najłatwiej było im osiągnąć korzyści w kwestiach płacowych, socjalno-bytowych oraz związanych z wyeliminowaniem różnego rodzaju zaniedbań w wytwórni. Być może to efekt kalkulacji władz, które liczyły się z tym, że w wielu sprawach, jakie się pojawią w trakcie negocjacji, będą musiały „odpuścić” i pójść na rękę strajkującym. Znacznie wolniej szło za to rozwiązywanie problemów, które wykraczały poza doraźne potrzeby robotników. W tym przypadku reprezentanci Komitetu Postojowego napotykali na twardy opór związany z – jak ich zapewniano – ograniczonymi kompetencjami władz lokalnych w tego rodzaju sprawach, które miały być w domenę szczebla centralnego. To jednak nie zrażało członków Komitetu Postojowego, odczytujących kolejne postulaty i czekających cierpliwie po każdym z nich na reakcję strony przeciwnej. To musiało trwać i rzeczywiście ciągnęło się niemiłosiernie. Koniec nadszedł dokładnie o godzinie 17.35, po prawie 8 godzinach spędzonych w sali obrad. Sfinalizowano je podpisaniem wspólnego porozumienia, które miało ostatecznie zakończyć świdnicki strajk.

Porozumienie składało się z 9 punktów. Pierwszy mówił o wprowadzeniu dla wszystkich pracowników akordowych „V tabeli płac bez korekty norm” oraz „50 proc. przeszeregowań o jedną grupę osobistego zaszeregowania” dla nich. Drugi dotyczył wprowadzenia „dla pracowników dniówkowych IV tabeli płac” oraz podnosił im premie o 15 proc. W kolejnym była mowa o przeznaczeniu odpowiedniej kwoty pieniędzy na realizację 100 proc. ich przeszeregowań o jedną grupę

wyżej. W następnym dyrekcja i samorząd zakładowy WSK zobowiązywały się do tego, że wystąpią niebawem do ministra przemysłu z wnioskiem, aby od 1 stycznia 1981 r. podniósł on średnią płacę w fabryce o 400 zł. W punkcie piątym wojewoda lubelski zobowiązał się do tego, aby zaopatrzenie Świdnika w produkty mięsne było na takim samym poziomie, jak sąsiedniego Lublina – stolicy województwa. Dalej dyrekcja i władze zobowiązały się do tego, że wszystkie inne postulaty zostaną załatwione, a o sposobie załoga będzie na bieżąco informowana. Równie doniosły był punkt siódmy, w którym zapisano, że wobec strajkujących nie będą wyciągane żadne konsekwencje z tego tytułu. W punkcie ósmym zapowiedziano, że Komitet Zakładowy WSK wystąpi do władz centralnych o to, aby wzrost płac w zakładzie postępował w miarę wzrostu kosztów utrzymania. Porozumienie wieńczył zapis o tym, że pracownicy otrzymają płacę za okres strajku (średnie płace pracownicy akordowi, a pozostali normalnie, jak za czas pracy), natomiast ze swojej strony zobowiązują się do bezpłatnego odpracowania poniesionych przez WSK strat z tytułu przestoju.

01.01.1980 zapis porozumienia
Załącznik Nr. 11.07.1980r.

Porozumienie zawarte między Przedstawicielami
Zalogi wybranymi przez Załogę w dniu 11.07.1980r.
a Dyrekcją, Radą Zakładową i Samorządem Robotniczym.

1. Wprowadza się z dniem 01.08.1980r. dla wszystkich pracowników akordowych V tabelę płac bez korekty norm oraz ustala się 50% przeszerzgowali o jedną grupę osobistego zaszerzgowania dla w/w grupy pracowników akordowych.

2. Z dniem 01.08.1980r. wprowadza się dla wszystkich pracowników dniówkowych IV tabelę płac oraz podnosi się premię do 15% dla wszystkich pracowników z zachowaniem dotychczasowych wyższych premii.

3. Z dniem 01.08.1980r. dla pracowników uszyskowych przesuwa się kwotę pieniężną dla zabezpieczenia 100% przeszerzgowali o jedną grupę wyżej - podział do dyspozycji kolektywnej.

4. Dyrekcja i Samorząd Robotniczy wystąpił z postulatem do Ministra Przemysłu Nasywnego aby podnieść z dniem 01.01.1981r. średnią płacę o 400.-zł. dla wszystkich pracowników Zakładu.

5. Wojewoda lubelski zagwarantuje, że miasto Świdnik w rozdziale maszyn będzie traktowany jako ośrodek robotniczy i zaopatrywany będzie jak miasto Lublin. Do końca miesiąca lipca br. Rada Zakładowa i Dział Socjalny zaproponuje formę sprzedaży dla pracowników Zakładu.

6. Wszystkie postulaty od załogi zostaną rozpatrzone i załoga będzie sukcesywnie informowana poprzez narady produkcyjne i konferencje Samorządu Robotniczego o sposobie ich załatwienia.

7. W stosunku do całej załogi oraz jej przedstawicieli nie będą wyciągane żadne konsekwencje z tytułu przestoju.

8. Komitet Zakładowy ZPR z pomocą Władz Wojewódzkich, w imieniu Zalogi, wystąpi do Władz Centralnych z postulatem: aby w miarę kosztów utrzymania, wzrastały płace poddawawce.

9. Za okres przestoju wypłaci się załozkow pobory średnie dla pracowników akordowych, natomiast dla pracowników pozostałych normalnie jak za czas pracy.
Załoga zobowiązuje się bezpłatnie odpracować poniesione straty z tytułu przestoju w czasie wolnym od pracy do końca br.

Podpisy:

1. Za Przedstawicieli Zalogi: Bartkiewicz Zofia
2. Karwowski Zygmunt
3. Ciocha Roman

1. Dyrektor WSK
2. Przewodniczący Samorządu Robotniczego
3. Przewodniczący Zakładowej

Wykonano: 4 egz.

1 x DN
1 x Przewodniczący Samorządu Robotniczego
1 x Rada Zakładowa
1 x Kancelaria Państwa

2 dniem 26.07.81
odpisy: 8.07.81
Tajne

Pracownik Zakładowy
Józef Jan Ciocha

KANCELARIA PAŃSTWA
Świdnik 11.07.1980r.
Tytuł: Nr. 11.07.1980r.
Data: 11.07.1980r.
Lublin 11.07.1980r.

Pod tekstem porozumienia w imieniu strajkujących podpisali się: Zofia Bartkiewicz, Zygmunt Karwowski i Roman Olcha. Natomiast ze strony władz swoje podpisy złożyli: dyrektor WSK, przewodniczący Samorządu Robotniczego WSK i przewodniczący Rady Zakładowej WSK. To o tyle godne uwagi, że dwaj ostatni swoje podpisy złożyli po stronie dyrekcji, czyli po przeciwnej niż załoga, którą rzekomo mieli reprezentować. Tym samym zaprzeczyli niejako sensowi istnienia swoich struktur, a także sprawowanym przez siebie funkcjom. Ale zostawmy tę uwagę na boku, bo problem reprezentatywności tworzonych przez komunistów ciał, mających działać w imieniu robotników, to temat na oddzielną opowieść.

Po podpisaniu porozumienia, władze postawiły warunek, aby nie publikować jego treści poza fabryką, a jedynie odczytać przez zakładowy radiowęzeł, po czym zdeponować w kancelarii tajnej WSK. Prawdopodobnie obawiały się, że rozpowszechnienie treści podpisanej umowy stanie się zachętą do działania dla innych. Dokument zarejestrowano zatem w tajnej kancelarii świdnickiej wytwórni i tam go złożono. Być może dlatego przetrwał do naszych czasów. Odtajniono go dopiero w 2000 roku, w dwudziestą rocznicę strajku.

Swoistym dopełnieniem całego aktu porozumienia strajkujących z władzami było odczytanie jego tekstu w zakładowym radiowęźle przez samego dyrektora WSK Jana Czogałę. Po tym fakcie wśród pracowników zapanowała wielka radość. Z zawartego porozumienia cieszył się wówczas cały Świdnik. Mieszkańcy byli wdzięczni robotnikom, którzy podejmując strajk ryzykowali swoim losem, ale koniec końców odnieśli bezprecedensowy sukces.

Strajk w WSK, rozpoczęty rankiem 8 lipca 1980 roku, uruchomił prawdziwą lawinę. Już 9 lipca na wiadomość o sytuacji w Świdniku, pracę przerwała Autoryzowana Stacja Obsługi „Polmożbyt” w Lublinie oraz lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych „Agromet”. W kolejnych dniach, 10 i 11 lipca, protesty rozpoczęły się w Lubelskich Zakładach Naprawy Samochodów (LZNS), lubelskiej Fabryce Samochodów Ciężarowych (FSC) oraz Lubelskich Zakładach Przemysłu Skórzanego (LZPS). Z kolei 15 lipca strajk podjęła lubelska Lokomotywnia, a nazajutrz stanął cały Lubelski Węzeł Kolejowy. Szczególnie ten ostatni przyciągał uwagę wszystkich Polaków. Stało się tak za sprawą Radia Wolna Europa (RWE), które podało informację o tym, jakoby

lubelscy kolejarze przyspawali do szyn transporty kolejowe, które miały wieźć żywność do Związku Sowieckiego. Była to nieprawdziwa informacja, jednak miała w sobie ogromną siłę oddziaływania na zwykłych ludzi, na co dzień borykających się z trudnościami w „zdobyciu” podstawowych artykułów z powodu ogromnych niedoborów żywnościowych na rynku.

W następnych dniach (16–19 lipca) do protestu przyłączyli się pracownicy w 33 miastach i miasteczkach Lubelszczyzny. To była prawdziwa lawina, która objęła, jak twierdzą historycy, aż 93 zakłady w całym regionie. Obok Świdnika i Lublina strajkowano wówczas także w Kraśniku (10 zakładów), Lubartowie (8), Puławach (5), Opolu Lubelskim (4), Radzynie Podlaskim (3), Chełmie (3), Białej Podlaskiej (3), Leonowie (2), Trawniskach (2), a także w pojedynczych przedsiębiorstwach w Siedliszczkach, Chodlu, Garbowie, Bychawie, Kluczkowicach, Kurowie, Nałęczowie, Biłgoraju, Puchaczowie, Zagłobie, Niemcach, Bogucinie, Ostrowie Lubelskim, Sernikach, Markuszowie, Bełżycach, Łopienniku, Piaskach, Zamościu i Międzyrzecu Podlaskim. Strajki te nie były jeszcze skoordynowane, bo nie istniało wówczas żadne ciało, które mogłoby taką funkcję pełnić. W jakimś sensie były więc suwerennymi akcjami, chociaż zasadniczy wpływ miał na nie bez wątpienia strajk, który zaczął się w Świdniku. Wszystkie przebiegały według podobnego scenariusza, który napisali robotnicy WSK. We wszystkich zakładach powoływano więc komitety postojowe bo – jak już wspomnieliśmy – na strajkowe nie godziły się władze. Wszędzie też formułowano postulaty i negocjowano z przedstawicielami władz oraz dyrekcją poszczególnych zakładów. W wyniku tych rozmów zawierano odrębne porozumienia w sprawie realizacji zgłoszonych żądań, które nie odbiegały od tych wysuwanych w Świdniku. W większości miały więc one charakter socjalny. Domagano się zniwelowania dysproporcji płacowych, poprawy warunków socjalno-bytowych oraz zrekompensowania wprowadzonych podwyżek cen. Żądano także pociągnięcia do odpowiedzialności osób winnych marnotrawstwa i nadużyć, zmniejszenia biurokracji oraz zlikwidowania branżowych przywilejów emerytalnych. Podobnie jak w Świdniku prawie wszędzie chciano gwarancji bezpieczeństwa po zakończeniu strajku. Cele polityczne w wysuwanych postulatach pojawiały się tylko marginalnie. Na przykład w lubelskiej Lokomotywni żądano nowych wyborów do zakładowych związków zawodowych i do zakładowych radowniczych, a w lubelskiej Fabryce Samochodów Ciężarowych domagano się wolnej prasy.

Ale i tak nie zmienia to faktu, że strajki, jakie miały miejsce w lipcu 1980 roku na Lubelszczyźnie, miały podłoże socjalne, a nie polityczne. Na te drugie przyszedł czas miesiąc później, w sierpniu 1980 r.

Tak czy inaczej, to właśnie strajk w świdnickiej WSK okazał się w lipcu 1980 r. najważniejszy na Lubelszczyźnie. To on bowiem uruchomił kolejne, jakie przetoczyły się przez cały region. Ale wyjątkowość Świdnika nie wynika tylko z tego, że był on pierwszy. Strajk prowadzono tam zupełnie nową metodą, której robotnicy w komunistycznej Polsce nigdy wcześniej nie stosowali. Prześledźmy zatem jeszcze raz, krok po kroku, w jaki sposób się ona wykluwała i jakie były jej późniejsze skutki.

Zacznijmy od nieco banalnego stwierdzenia, które mówi, że wszystko, co powstaje i jest nowe, wymaga odwagi i to sporej. Odwagi tych, co tworzą, są prawdziwymi demiurgami nowego, które przecież niekoniecznie musi być lepsze od starego. Ta odwaga zawsze wiąże się jednak z wielkim ryzykiem, za którym nierzadko stoi niepowodzenie lub porażka. A te, jak wiemy, mają zazwyczaj swoją cenę, niekiedy bardzo wysoką. Podobnie było w przypadku robotników strajkujących w Świdniku. Oni również wykazali się odwagą. Podjęli decyzję o proteście, chociaż wówczas mogła wydawać się ona całkowicie nierozsądną. Żywe były przecież jeszcze tragiczne doświadczenia robotniczych protestów z czerwca 1976 r. w Radomiu i Ursusie, brutalnie spacyfikowanych przez władze i okupione represjami wobec strajkujących. Istniało zatem wielkie ryzyko, że jeśli w Świdniku pójdą tą drogą, władze rękami swojego aparatu represji postąpią podobnie. W każdym razie owo zagrożenie było całkiem realne. I z nim od początku musieli mierzyć się robotnicy WSK, podejmując decyzję o swoim strajku. Byli jednak wystarczająco zdeterminowani do tego, aby podjąć to wyzwanie. Czuli, że działają w słusznej sprawie, której nie mogą już porzucić. Chodziło przecież o ich żywotne interesy. Ale gdy już klamka zapadła, pojawił się kolejny problem: w jaki sposób powinien przebiegać strajk? Jak już wspomnieliśmy, wyjście na ulice nie wchodziło w grę, bo było oczywiste, że skończy się kolejną tragedią. Władze zresztą oczekiwały na taki właśnie krok, mając już dobrze przećwiczony schemat działania w tego typu sytuacjach. W komunistycznym państwie nie istniał również schemat prowadzenia pokojowego strajku robotniczego. Ten należało dopiero wypracować. Robotnicy świdnickiej WSK byli więc niejako pionierami,

wypracowując nieznaną wcześniej metodę protestu. Korygowali ją w miarę miarę postępu zdarzeń i na bazie bieżących doświadczeń. Co istotne, pozostali jednak w swoim zakładzie pracy. Zadbali o porządek na jego terenie, aby nie dać władzom żadnego powodu do interwencji. Stworzyli komitet strajkowy, formalnie nazwany Komitetem Postojowym. Wysunęli na piśmie postulaty pod adresem władz. Następnie zaczęli domagać się rozmów w sprawie ich realizacji. W końcu doprowadzili do tego, że negocjacje podjęto. W ich trakcie okazywali twardość i starali się nie ulec presji swoich oponentów po drugiej stronie stołu. Finałem było, historycznie pierwsze w tamtym czasie, pisemne porozumienie dotyczące spełnienia wysuniętych żądań. Niezmiernie ważne było również to, że w podpisanej przez obie strony umowie znalazły się gwarancje, że uczestnicy strajku nie zostaną poddani represjom. To wszystko robotnicy osiągnęli sami, dzięki swojej odwadze, mądrości i roztropności. Po latach Zofia Bartkiewicz skonstatowała to w ten sposób:

„nie mieliśmy za sobą żadnych doradców, [...] ani ekonomistów, ani prawników. Jedyne co nam przyświecało to robotnicza mądrość”.

Jej słowa oddają istotę sukcesu robotników podlubelskiej fabryki w lipcu 1980 r. Mogły z niego skorzystać także inne zakłady pracy, idąc przetartą przez Świdnik drogą. Tamten strajk stał się zatem punktem odniesienia dla działań wszystkich protestujących w Polsce robotników. Można się było o tym przekonać już miesiąc później, w sierpniu 1980 r., gdy wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej, który zapoczątkował epokę „Solidarności”.



ROZDZIAŁ IV

Czas „Solidarności”

Zainicjowane w Świdniku lipcowe strajki na Lubelszczyźnie nie mogły rozwiązać wszystkich problemów w kraju, który coraz bardziej pogrążał się w gospodarczym kryzysie. Uruchomiły one jednak bardzo ważny proces, obejmujący swym zasięgiem całą Polskę. Robotnicy we wszystkich zakładach pracy zaczęli już otwarcie krytykować politykę władz i domagać się radykalnej jej zmiany. Dotyczyło to zwłaszcza zaspokojenia najbardziej podstawowych ich interesów, które to oczekiwanie zostało mocno rozbudzone w wyniku lipcowych strajków na Lubelszczyźnie. W rezultacie zapanowała atmosfera gorących dyskusji, które uzewnętrzniały coraz większe niezadowolenie. Było jasne, że wcześniej czy później musi to przynieść swoje skutki. Pojawiały się zresztą wyraźne symptomy tego, że tak się właśnie stanie. Już na początku sierpnia 1980 roku w wielu zakładach w kraju dochodziło do przerw w pracy. Jednak tylko w nielicznych z nich przestoje przeradzały się w krótkotrwałe strajki. Tak było między innymi w WSK w Świdniku, gdzie 6 sierpnia około 600 robotników pierwszej zmiany zaczęło domagać się zapłaty za okres lipcowego protestu oraz uruchomienia sprzedaży mięsa na terenie zakładu. Tę sytuację władzom udało się jeszcze rozładować, ale zasadniczy problem, jakim były wówczas fatalne nastroje społeczne, pozostawał nierozwiązany. Sytuacja gospodarcza była już na tyle zła, że nie dało się jej w krótkim czasie odczuwalnie poprawić. Inna rzecz, że władza nie miała też żadnego pomysłu, jak tego dokonać. Kolejna fala strajków wydawała się więc tylko kwestią czasu. I rzeczywiście, długo nie trzeba było czekać.

Tym razem zaczęło się od Gdańska. Rankiem 14 sierpnia 1980 r. robotnicy kilku wydziałów Stoczni Gdańskiej przerwali swoją pracę. Kilka godzin później strajk objął już prawie całą załogę. W wiecu, do którego doszło tamtego dnia, domagano się m.in. przywrócenia do pracy zwolnionych wcześniej Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, podwyżki płac o 2 tysiące złotych, dodatku drożyznianego i rodzinnego, takiego samego jak dla funkcjonariuszy MSW,

zgody na postawienie pomnika zastrzelonych w grudniu 1970 r. stoczniovców oraz zagwarantowania bezpieczeństwa wszystkim strajkującym. Bardzo szybko gdański strajk nabrał charakteru okupacyjnego. I błyskawicznie zaczęły o nim mówić media na całym świecie.

W kolejnych dniach podobne akcje podjęły inne zakłady na Wybrzeżu. Do protestów doszło nich m.in. w stoczni w Gdyni, Gdańskiej Stoczni Remontowej, a potem w stoczni szczecińskiej. Następnie, w ramach solidarności ze strajkującymi stoczniovcami z Gdańska, strajkować zaczęli pracownicy z innych miast, m.in. w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Rzeszowie. W świdnickiej WSK 26 sierpnia odbył się dwugodzinny strajk solidarnościowy z Gdańskiem. Wzięło w nim udział prawie 3 tys. pracowników lotniczej wytwórni. Sierpniowa fala okazała się zdecydowanie silniejsza od tej, która miała miejsce miesiąc wcześniej na Lubelszczyźnie. Głównie dlatego, że objęła ona regiony znacznie lepiej uprzemysłowione. Strajk w Stoczni Gdańskiej był tym, który podobnie jak lipcowy w Świdniku przykuwał uwagę wszystkich. Działy się tam wydarzenia kluczowe dla przebiegu wszystkich protestów.

Strajk gdańskich stoczniovców miał również swoje etapy. Najważniejszy był trzeci dzień, 16 sierpnia. Dyrekcja Stoczni Gdańskiej po rozmowie z przedstawicielami Komitetu Strajkowego zgodziła się na spełnienie większości postulatów: przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, podwyżkę płac dla każdego zatrudnionego (o około 1,5 tysiąca złotych), budowę pomnika ofiar Grudnia 1970 r. i gwarancje nietykalności dla strajkujących. Komitet Strajkowy pod przewodnictwem przybyłego do stoczni Lecha Wałęsy postanowił wówczas ogłosić zakończenie protestu. Jednak kilku jego członków (m.in. Anna Walentynowicz, Maryla Płońska, Alina Pieńkowska) sprzeciwiło się tej decyzji, wzywając stoczniovców do solidarności z zakładami, które również podjęły akcję strajkową. Z ich inicjatywy uruchomiono kampanię, której celem miało być zjednoczenie wszystkich załóg protestujących na Wybrzeżu (prowadzili ją m.in. Andrzej i Joanna Gwiazdowie, Bogdan Lis oraz Maryla Płońska). Konsekwencją tej inicjatywy było zawiązanie w Stoczni Gdańskiej Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego (MKS), w skład którego weszli delegaci także innych przedsiębiorstw na Wybrzeżu. To był przełomowy moment strajku w Stoczni Gdańskiej, który zadecydował o tym, co wydarzyło się tam później.

Inne ważne wydarzenie miało miejsce 17 sierpnia, kiedy na budynku portierni przy bramie nr 2 umieszczono tablice zawierające 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego (MKS), przekazane wkrótce wojewodzie gdańskiemu Jerzemu Kołodziejskiemu. Nie były one dla władz łatwe do zaakceptowania, bo nie dotyczyły wyłącznie spraw czysto socjalnych. Wśród żądań znalazły się kwestie czysto polityczne i to takie, które podważały fundamenty istniejącego systemu. Już na samym początku strajkujący wysunęli postulat zapewnienia im prawa do własnej reprezentacji, czyli krótko mówiąc możliwości utworzenia nowych związków zawodowych. W ten sposób podawali niejako w wątpliwość wiarygodność samej PZPR, która zawsze deklarowała, że sprawuje rządy w imieniu klasy robotniczej. Kolejne punkty również miały charakter polityczny. Domagano się m.in. przestrzegania zawartego w Konstytucji PRL prawa do wolności słowa oraz dostępu do kontrolowanych przez partię mediów. Żądano zaprzestania represji wobec osób prześladowanych za przekonania polityczne. Wśród żądań ekonomicznych i socjalnych znalazły się m.in. przeprowadzenie niezbędnych zmian w gospodarce, aby kraj mógł wyjść z kryzysu, a także zwiększenie wsparcia dla osób wychowujących dzieci, skrócenie wieku emerytalnego, wprowadzenie wolnych sobót i zreformowanie służby zdrowia. Władzom mogło się wówczas wydawać, że wprowadzenie tych postulatów w życie podważy podstawy ustroju. Tym bardziej więc ich obawy co do zamiarów strajkujących stoczniowców Gdańska były w pełni uzasadnione. To był ważny z psychologicznego punktu widzenia moment tego protestu.

Nie mogło zatem dziwić, że kolejne dni (17–21 sierpnia 1980 r.) przypominały „mocowanie się” obydwu stron. Władze starały się za wszelką cenę rozbić solidarność strajkujących zakładów pracy Wybrzeża, których spoiwem i koordynatorem stał się gdański MKS. W tym celu podjęły próby stworzenia w poszczególnych zakładach „konkurencyjnych” MKS-ów, których celem miało być podjęcie samodzielnych rozmów z władzami. Swoje działania rozwinęły również siły MO i SB, które aresztowały delegatów wielu komitetów strajkowych, jakie utworzono w poszczególnych zakładach pracy na Wybrzeżu. Protestujących systematycznie „bombardowała” także rządowa propaganda, której przekaz sprowadzał się do obarczenia ich winą za trudną sytuację gospodarczą w kraju. Jednak na niewiele się to zdało, bo strajk w Stoczni Gdańskiej, podobnie jak ten lipcowy w Świdniku, zadziałał niczym lawina. W kolejnych przedsięwzięciach podejmowano akcje strajkowe, a poszczególne

komitety zgłaszały swój akces do MKS-u. Władze zostały w końcu zmuszone do podjęcia negocjacji. 21 sierpnia do Gdańska przybyła delegacja rządowa na czele z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim. Usiłując ponownie zmarginalizować pozycję MKS-u, Jagielski zaproponował, aby rozmowy odbyły się w komisjach branżowych. Jego propozycja nie miała już szansy na realizację. Gdański MKS był zbyt silnym ciałem, wszak reprezentował 388 strajkujących zakładów, a poza tym jego organizacja stała na wysokim poziomie. Posiadał własne fundusze, zaś na jego zapleczu działała komisja ekspertów oraz drukowano strajkowe ulotki. Był więc już na tyle mocny, by z góry odrzucać tego rodzaju propozycje. I chyba dlatego 23 sierpnia delegacja rządowa została zmuszona do podjęcia rozmów z gdańskim MKS-em. Były prowadzone w sali BHP i na bieżąco transmitowane na terenie całej stoczni. Władzy nie w smak była jednak taka ich transparentność. Od samego początku negocjacje toczyły się w bardzo napiętej atmosferze. Widać to było zwłaszcza wtedy, gdy pojawiał się postulat dotyczący powołania nowych związków zawodowych. Strona rządowa twardo obstawała przy reformie już istniejących. Na to jednak nie było zgody przedstawicieli MKS-u. Prawdziwy impas pojawił się 29 sierpnia, kiedy zgłoszono postulat powołania nowych związków zawodowych i po raz kolejny został on odrzucony. Sytuacja w kraju sama w sobie wytwarzała presję na władze, zwłaszcza, że do strajku przystępowały kolejne zakłady i to nie tylko na Wybrzeżu. W Szczecinie, gdzie stanęła Stocznia im Adolfa Warskiego, tamtejszy MKS reprezentował już 97 podmiotów. Z kolei powstanie wrocławskiego MKS-u było owocem protestu w miejscowym MPK. Kolejny założono na Górnym Śląsku, a jego siedzibą stała się kopalnia „Manifest Lipcowy”. Podobne międzyzakładowe komitety powstały jeszcze w Bydgoszczy, Elblągu oraz w wielu innych dużych miastach. Istniało zatem prawdopodobieństwo, że jeśli władze dalej będą odrzucały postulaty gdańskich stoczniowców, strajki mogą sparaliżować cały kraj. Ta presja musiała przynieść efekt.

30 sierpnia wicepremier Jagielski zgodził się na wstępną akceptację części z 21 zgłoszonych przez stoczniowców żądań. Ale wtedy przedstawiciele gdańskiego MKS-u, chcąc ugrać więcej, uzależnili kontynuowanie rozmów od uwolnienia wszystkich więźniów politycznych. Strona rządowa zorientowała się wówczas, że bez daleko idących ustępstw się nie obędzie. Następnego dnia (31 sierpnia) obie strony zdecydowały się na podpisanie porozumienia, które ostatecznie zakończyło strajk w Stoczni Gdańskiej. W pierwszym jego punkcie

zapisano, że działalność dotychczasowych związków zawodowych nie spełniła pokładanych nadziei i oczekiwań pracowników, dlatego za celowe uznaje się powołanie nowych, które będą autentycznym reprezentantem pracujących. To właśnie na tej podstawie zarejestrowano później nowy związek. W dalszej części umowy strona rządowa zobowiązała się m.in. do ograniczenia cenzury i ponownego zatrudnienia osób zwolnionych z pracy po wydarzeniach, jakie miały miejsce w 1970 i 1976 roku. W kwestii gospodarczej władze zobowiązały się do opublikowania podstawowych założeń reformy gospodarczej, która miała zostać opracowana, i umożliwienia nad nią publicznej dyskusji. Jak zapisano, reforma ta ma opierać się na zwiększonej samodzielności przedsiębiorstw i udziale samorządu robotniczego w procesie zarządzania nimi.

Podobne porozumienia ze stroną rządową, zwane później „sierpniowymi”, podpisane również w Szczecinie (30 sierpnia), Jastrzębiu Zdroju (3 września) i Dąbrowie Górniczej (11 września), zapoczątkowały erę „Solidarności”, pierwszego niezależnego związku zawodowego w całym komunistycznym bloku. Zanim to jednak nastąpiło, należało jeszcze przygotować ogniwa strajkowe do akcji tworzenia struktur nowego związku. Po instrukcje do Gdańska udały się wówczas delegacje największych zakładów pracy Lubelszczyzny: Fabryki Samochodów Ciężarowych, WSK w Świdniku, puławskich Azotów i Lokomotywni PKP w Lublinie. Delegatami WSK byli: Antoni Grzegorzczak, Zygmunt Karwowski, Józef Kępski, Ryszard Kuć oraz Zbigniew Puczek. Po przybyciu do Gdańska świdnicka delegacja spotkała się z Lechem Wałęsą, Anną Walentynowicz i innymi działaczami. Otrzymała również od gdańskiego MKS-u materiały dotyczące nowych związków zawodowych oraz wytyczne odnośnie tworzenia ich struktur w Świdniku. Po powrocie delegacji do Świdnika, 9 września 1980 roku, odbyło się posiedzenie Komitetu Strajkowego WSK, który przekształcił się w Zakładowy Komitet Założycielski Niezależnych Związków Zawodowych WSK w Świdniku. Na czele liczącego 64 członków komitetu stanęło siedmioosobowe prezydium w składzie: Zofia Bartkiewicz (przewodnicząca), Zbigniew Puczek (wiceprzewodniczący), Zygmunt Karwowski (wiceprzewodniczący) Antoni Grzegorzczak, Józef Kępski, Ryszard Kuć i Roman Olcha. Zaraz po ukonstytuowaniu się komitetu, podjęto szeroką akcję informacyjną wśród załogi, prezentując projekt statutu nowego związku. W jej efekcie niemal natychmiast zdecydowana większość załogi zadeklarowała przystąpienie do niego. Kolejnego dnia, 10 września

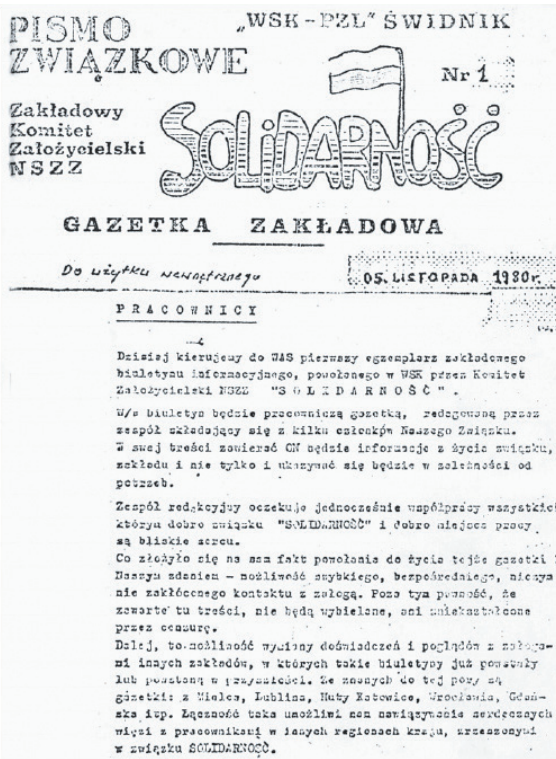
1980 r., w świdnickim Klubie Wynalazczości i Racjonalizacji z inicjatywy komitetu odbyło się spotkanie z udziałem przedstawicieli 28 zakładów pracy Lubelszczyzny. Powołano wówczas Międzyzakładowy Środkowo-Wschodni Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych z siedzibą w Lublinie. Świdnicką WSK miał w nim reprezentować Ryszard Kuć, wybrany jednocześnie wiceprzewodniczącym tego gremium. Dwa dni później na terenie WSK miała miejsce akcja zbierania deklaracji wstąpienia do nowych związków. Łącznie do października 1980 roku złożyło je aż 7980 pracowników. Stanowiło to ponad 80 proc. załogi świdnickiej wytwórni. To zachęciło robotników w innych lubelskich zakładach. Uwieńczeniem działań przygotowawczych do powołania lubelskich struktur nowego związku był wyjazd delegacji Międzyzakładowego Środkowo-Wschodniego Komitetu Założycielskiego Niezależnych Związków Zawodowych do Gdańska, gdzie 17 września odbyło się spotkanie przedstawicieli 30 ośrodków założycielskich z całego kraju. W jego trakcie podkreślono konieczność utworzenia dostatecznie silnej organizacji, która mogłaby skutecznie oprzeć się władzy. Opracowano więc formalny wniosek dotyczący utworzenia jednego silnego związku zawodowego. W wyniku głosowania zapadła decyzja o powołaniu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego (NSZZ) „Solidarność”, bo pod taką właśnie oficjalną nazwą miały działać nowe związki zawodowe. Ale trzeba było jeszcze zarejestrować go w sądzie. Na tym tle doszło do poważnego zgrzytu, ponieważ Sąd Wojewódzki w Warszawie samowolnie wprowadził zmiany do Statutu NSZZ „Solidarność”, co wywołało stanowczy sprzeciw jego działaczy. Ostatecznie Sąd Najwyższy uchylił te zmiany i 10 listopada 1980 r. zarejestrował NSZZ „Solidarność”, ku radości tysięcy polskich robotników, także tych w Świdniku.

Kolejne tygodnie, jakie mijały od rejestracji, upłynęły w Świdniku w atmosferze wyborów terenowych struktur związku. Do 20 listopada wyłonione zostały Wydziałowe Organizacje Związkowe oraz Samodzielne Wydziałowe Koła Związkowe. Wybrano również Komisję Wyborczą, która miała zająć się przygotowaniem wyborów do Zakładowej Organizacji Związkowej. Działalność rozpoczął także Komitet Koordynacyjny Komitetów Założycielskich NSZZ „Solidarność”, którego rolą było rozwiązywanie bieżących problemów organizacyjnych i harmonizowanie działań wszystkich organizacji związkowych na terenie miasta. W dniach 25–26 listopada 1980 r. odbyło się w Świdniku

spotkanie związkowców ze wszystkich zakładów i instytucji branży lotniczej (Krajowa Konferencja Delegatów NSZZ „Solidarność” zakładów zgrupowanych w Zjednoczeniu Przemysłu Lotniczego i Silnikowego). To był również ważny krok organizacyjny w procesie tworzenia struktury nowego związku. Wszystkie te działania niejako konstituowały pozycję świdnickiej „Solidarności”, która stała się jedną z najsilniejszych i najbardziej aktywnych struktur nie tylko na Lubelszczyźnie, ale w całej branży lotniczej. Wyrazem tego były m.in. podejmowane przez świdnickich związkowców akcje społeczne oraz działalność powołanych przez Zakładową Komisję Związkową WSK komisji socjalno-bytowych.

Świdnicka „Solidarność” jako jedna z pierwszych stworzyła swoje informacyjne zaplecze. Już 5 listopada 1980 roku ukazał się pierwszy numer „Pisma Związkowego”, organu prasowego świdnickiej „S”, które trzy miesiące później zmieniło nazwę na „Biuletyn Związkowy Solidarność Zakładowej Komisji Związkowej WSK Świdnik”, by stać się potem „Biuletynem Związkowym Grot Zakładowej Komisji Związkowej PZL – WSK Świdnik”. Inicjatorem jego powstania

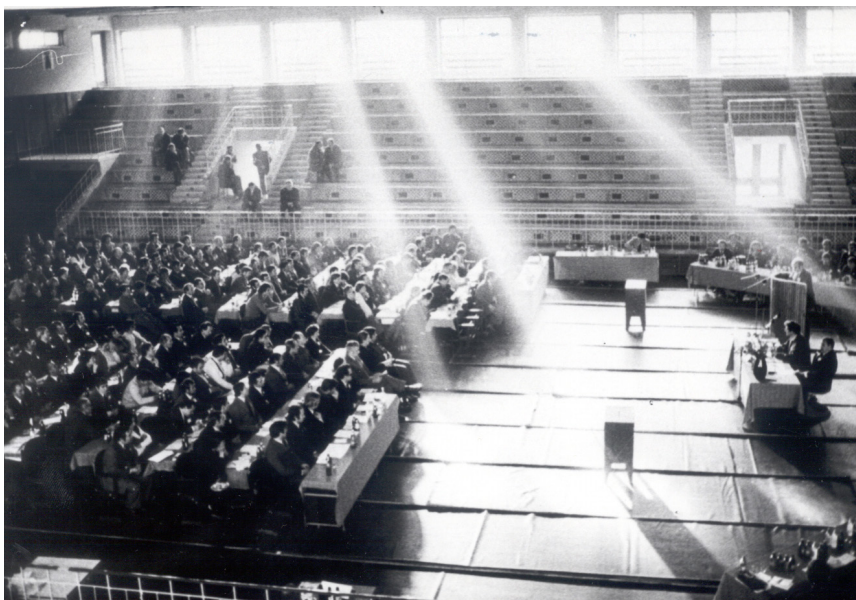
i redaktorem naczelnym był Alfred Bondos, który robił wiele, aby biuletyn z uwagą czytali nie tylko związkowcy, ale wszyscy mieszkańcy Świdnika. Bondos i jego współpracownicy byli również odpowiedzialni za przygotowanie audycji związkowych, które były emitowane w zakładowym radiowęźle.



Z miesiąca na miesiąc świdnicka „Solidarność” stawała się coraz bardziej aktywną strukturą, o czym dobitnie przekonywały się komunistyczne władze. Kolejne akcje związkowców spod Lublina odbijały się bowiem szerokim echem. I tak np. 9 grudnia 1980 r. Komisja Zakładowa WSK wystosowała list do I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR Stanisława Kani w sprawie odwołania przez władze projekcji głośniego wówczas filmu „Robotnicy 80”. Tym samym zarzucono władzom naruszenie umowy społecznej, jaką stanowiły porozumienia sierpniowe. Kilka dni później, 16 grudnia 1980 r., związkowcy z WSK zorganizowali akcję poparcia dla pomnika Ofiar Grudnia 1970, wysyłając swoich przedstawicieli na uroczystość jego odsłonięcia do Gdańska.

18 grudnia 1980 roku w hali sportowej świdnickiej „Avii” odbyła się I Statutowa Konferencja Wyborcza do władz związku. Wzięło w niej udział prawie 281 delegatów reprezentujących prawie 8 tysięcy związkowców z fabryki (dla porównania PZPR liczyła wówczas w WSK 2051 członków). Przybyć miał sam Lech Wałęsa, lider „Solidarności”, ale jego wizyta ostatecznie nie doszła do skutku. W czasie Konferencji dokonano wyboru władz Zakładowej Komisji Związkowej, której przewodniczącym został Zbigniew Puczek. Obok niego, w skład Komisji





weszło jeszcze 15 innych osób (Józef Adamczyk, Zofia Bartkiewicz, Stanisław Blicharz, Alfred Bondos, Leszek Graniczka, Antoni Grzegorzczak, Józef Kępski, Ryszard Krzyżanek, Ryszard Kuć, Stanisław Pietruszewski, Stanisław Pyć, Leszek Rosik, Andrzej Sokołowski i Henryk Zieliński. Wybrano również Komisję Rewizyjną oraz 15 delegatów Świdnika na konferencję regionalną związku. W przyjętej na Konferencji uchwale zaprotestowano „przeciwko marnotrawieniu ogromnego wysiłku ludzi pracy, wkładanego w realizację planów produkcyjnych poprzez błędne decyzje władz w zakresie organizacji życia gospodarczego i społecznego oraz marnotrawienia efektów tej pracy przez ludzi odpowiedzialnych za stan gospodarki”. Na zakończenie odprawiona została msza św. w intencji nowo wybranej Komisji Związkowej. Celebrował ją osobiście ksiądz Jan Hryniewicz, który dokonał również poświęcenia krzyża zawieszonego w siedzibie zakładowej „Solidarności”. Konferencja wyznaczyła kierunek i styl działania nowego związku. Z kolei dla władz była sygnałem, że „S” będzie twardym przeciwnikiem, z którym trzeba się będzie odtąd liczyć.

W końcu 1980 roku w Świdniku miało miejsce jeszcze jedno ważne wydarzenie. W wigilijną noc z 24 na 25 grudnia w dolnej kaplicy budowanego

w mieście kościoła (pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła) odprawiono uroczystą pasterkę, która była pierwszą mszą w tej świątyni. Jak już wspomniano, poświęcenia dokonał biskup lubelski Zygmunt Kamiński. Pasterka miała bardzo bogatą oprawę artystyczną, ale jeszcze ważniejsze były wypowiedziane w jej trakcie słowa, które padły z ust przedstawiciela zakładowej „Solidarności”. Mówił o „braku kościoła przez wiele lat w życiu świdnickich robotników”, podkreślając również, że to

„gubiło ich własną godność, ale i szacunek i miłość do bliźniego”.

Wywarło to ogromne wrażenie na zgromadzonych w kościele mieszkańcach Świdnika. Wreszcie mogli się cieszyć, że doczekali tego, o co przez lata tak niestrudzenie walczyli. Tamta pasterka przyniosła robotnikom wiarę w to, że jeśli swoją walkę, teraz już pod sztandarami „Solidarności”, będą prowadzili równie zawzięcie jak o kościół w mieście, to również osiągną swoje cele.

Na początku stycznia 1981 roku powróciła sprawa niezrealizowanego postulatu odnośnie podwyżki płac. Zgodnie z zawartym w lipcu 1980 r. porozumieniem kończącym strajk w WSK, pracownicy wytwórni mieli otrzymać od 1 stycznia 1981 r. podwyżkę płac w wysokości 600 złotych. Ale zamiast tego do fabryki wpłynęło pismo Zjednoczenia Przemysłu Lotniczego i Silnikowego w Warszawie, w którym zakomunikowano, że podwyżki mogą zostać zrealizowane tylko w przypadku, gdy pozwolą na to rezerwy w osobowym funduszu płac. W praktyce oznaczało to, że na razie ich nie będzie. Na reakcję załogi nie trzeba było długo czekać. Występująca w jej imieniu Zakładowa Komisja „Solidarności” ostrzegła, że dalsze nierealizowanie uzgodnionych w lipcu 1980 roku podwyżek doprowadzi do otwartego konfliktu w zakładzie. Po kolejnych deklaracjach dyrekcji, że sprawa zostanie załatwiona, widmo konfliktu udało się zażegnać, przynajmniej na jakiś czas.

Doszło za to do sporu na zupełnie innym tle. Jego płaszczyzną stało się tym razem przyznanie lokalu dla zakładowej „Solidarności”. Jej przedstawiciele zażądali od szefów branżowego związku w zakładzie opuszczenia części zajmowanych pomieszczeń, grożąc zajęciem ich siłą w razie odmowy. Wobec takiego ultimatum dyrekcja zgodziła się zaakceptować postulat związkowców „Solidarności”. W rezultacie branżowcy musieli się przenieść w okolice pokoi

dyrektorskich i Komitetu Zakładowego PZPR. To była pierwsza zwycięska potyczka „Solidarności” w WSK.

Kolejna batalia, dotycząca wolnych sobót, też zakończyła się wiktoryą. 9 stycznia 1981 roku zgodnie z zaleceniami Krajowej Komisji Porozumiewawczej oraz dyrektywami MKZ w Lublinie, Komisja Zakładowa „Solidarności” w WSK podjęła uchwałę, że wszystkie soboty w tym miesiącu uważa za wolne od pracy. Związkowcy zastrzegali, że jeśli z tytułu nieobecności w pracy spotkają ich represje zostanie podjęty strajk. Władze usiłowały przemilczeć sprawę, ale na niewiele się to zdało, bo „Solidarność” nie odpuszczała. 29 stycznia Zakładowa Komisja Związkowa wystosowała list otwarty do Rady Państwa, w którym wyartykułowano wszystkie oczekiwania świdnickich związkowców, włącznie z wolnymi sobotami. Zarzucono również władzom brak postępu w realizacji takich postulatów, jak dostęp do radia i telewizji, zmiany w ustawie o cenzurze, ustawie o związkach zawodowych, co – jak podkreślono – zapisane zostało w porozumieniach sierpniowych. Ale to właśnie wolne soboty rodziły w WSK najwięcej napięć w relacjach związkowców z władzami w tamtym czasie. Kulminacja nastąpiła 4 lutego, kiedy Komisja Zakładowa WSK ogłosiła gotowość strajkową. I kilka dni później załoga fabryki rzeczywiście na godzinę przerwała pracę.

W marcu kluczową dla „Solidarności” kwestią okazał się dostęp do istniejących mediów i bieżących działań komunistycznej cenzury. Wszystko zaczęło się od głośnego wówczas Listu Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Gdańsku do wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, w którym zaprotestowano przeciwko notorycznym ingerencjom państwowej cenzury w treści podawane przez biuletyny związkowe. Treść tego listu została 2 marca przedstawiona w zakładowym radiowęźle i była gorąco dyskutowana wśród całej załogi WSK. Trzy dni później, 5 marca, Komisja Zakładowa „Solidarności” przygotowała rezolucję, w której m.in. ponownie poruszono temat cenzury dokumentów i publikacji związkowych. Przewodniczący Komisji Zbigniew Puczek, komentując tę rezolucję, stwierdził m.in.

„mamy prawo opracowywać treść lokalnych dokumentów, komunikatów bez potrzeby cenzurowania [ich] przez organy chociażby partyjne w naszym przedsiębiorstwie. A takie usiłowanie jest!”.

W marcu 1981 roku związkowców w Świdniku poruszyła sprawa wydarzeń w Bydgoszczy. 19 marca w trakcie obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej (WRN), na które zaproszono przedstawicieli bydgoskiego regionu „Solidarności” z jego szefem Janem Rulewskim na czele, doszło do ich pobicia przez funkcjonariuszy MO. Trzech z nich (Jan Rulewski, Michał Bartoszcze i Mariusz Łabentowicz) zostało przewiezionych do szpitala. Wywołało to powszechne oburzenie działaczy w całym kraju, którzy uznali zajścia za kolejną prowokację władz. Zgodnie z zaleceniami krajowej „Solidarności” również w świdnickiej WSK przeprowadzono akcję informacyjną w tej sprawie i ogłoszono gotowość strajkową w związku z wydarzeniami w Bydgoszczy. Na terenie Świdnika pojawiły się wówczas ulotki w rodzaju „Żądamy ukarania winnych zaistniałych prowokacji w Bydgoszczy” i „Dziś oni, jutro my – Solidarność”. Z pewnością to, co zdarzyło się w Bydgoszczy, zaowocowało dalszym wzrostem napięcia w relacjach „Solidarności” z władzami. Apogeum tego na Lubelszczyźnie był przeprowadzony 27 marca czterogodzinny strajk ostrzegawczy. Uczestniczyła w nim prawie cała załoga Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego.

Najważniejszym wydarzeniem kwietnia była pierwsza tura obrad I Walnego Zebrania Delegatów (WZD) NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego, która odbyła się w hali „Avii” 25 i 26 kwietnia. Dla świdnickich związkowców, którzy wzięli na siebie główny ciężar organizacji, było to potężne przedsięwzięcie. W dwudniowych obradach udział wzięło aż 544 delegatów z całego Regionu Środkowo-Wschodniego. Wydarzenie obserwowane było z uwagą nie tylko przez przedstawicieli komunistycznych władz, ale także zachodnie media, które licznie przybyły do Świdnika (m.in. ekipy telewizyjne amerykańskich stacji ABC i NBC). Toczono wówczas dyskusje pokazały wielką siłę regionalnej „Solidarności”, której WSK była prawdziwym okrętem flagowym. Oprócz spraw czysto organizacyjnych i podsumowujących pierwszy okres działalności związku, delegaci podjęli dwie istotne sprawy. Pierwszą z nich było wystosowanie apelu do władz PRL o uwolnienie więźniów politycznych i zaniechanie represji wobec działaczy opozycyjnych organizacji politycznych, społecznych i związkowych. W apelu tym znalazło się również odniesienie do kwestii wolności słowa, o którą zabiegano od początku istnienia „Solidarności”.

Podkreślono, że

„zasada wolności słowa, prawa do informacji oraz swobodnego przepływu myśli i idei jest niezbędna dla demokratycznego funkcjonowania społeczeństwa”.



Drugi ważny punkt obrad to skierowanie do Ministerstwa Oświaty i Wychowania apelu o przedstawienie nowego programu wychowania Polaków, który – jak zaznaczono – winien uwzględniać

„tradycje narodowe, wartości etyczno-moralne tkwiące w religii oraz potrzebę umacniania więzi rodzinnych”. Sygnatariusze podkreślili, że powinny one „stanowić wartości fundamentalne dla kultury naszego narodu”.

Maj 1981 roku zaczął się od komunistycznego Święta Pracy, które jak zawsze obchodzone było z rozmachem. Tym razem towarzyszyła mu nieco inna atmosfera. Tak przynajmniej było w Świdniku, mieście, w którym władze zawsze wkładały wiele wysiłku w to, aby obchody miały charakter prawdziwych politycznych misterii. Tamtego dnia Milicja i SB odnotowały w lotniczym mieście co najmniej kilkadziesiąt przypadków zniszczenia czerwonych flag. Z kolei 3 maja, w rocznicę uchwalenia konstytucji z 1791 r., w Świdniku



on sporą rzeszę świdniczan.

13 maja wydarzyło się coś, co wstrząsnęło całą Polską. Podczas tradycyjnego spotkania Ojca świętego z wiernymi na Placu Świętego Piotra w Rzymie, zamachowiec turecki Ali Ağca oddał do Jana Pawła II strzały z pistoletu, które – niewiele brakowało – mogły okazać się śmiertelne. Wszyscy zadawali sobie wówczas pytanie: dlaczego musiało się to stać? I kto rzeczywiście kierował ręką tureckiego zamachowca, która strzelała do polskiego papieża? Zastanawiali się nad tym również mieszkańcy Świdnika, którzy modlili się za ciężko rannego Jana Pawła II, po raz kolejny doświadczając wspólnoty i solidarności. Komisja Zakładowa „Solidarności” skierowała do papieża specjalny telegram, komunikując w nim:

„cała załoga WSK Świdnik poprzez swoją modlitwę i sumienną pracę łączy się w tych chwilach z cierpieniem Wielkiego Rodaka [...] pokładając całą ufność w Bogu i prosząc o jego szybki powrót do zdrowia”.

Przeżycia związane z zamachem jeszcze długo tkwiły w sercach mieszkańców podlubelskiego miasta.

panowało wyjątkowe
ożywienie. Działacze
„Solidarności” postanowili
ostentacyjnie zademonstrować
swoje poparcie dla rocznicy,
której w PRL oficjalnie nie
obchodzono. Z ich inicjatywy
w Zakładowym Domu
Kultury odbyło się spotkanie
z prof. Jerzym Kłoczowskim,
historykiem KUL, który
wygłosił wykład „Konstytucja
3 Maja a zryw robotniczy 1980
r.” Skrupulatnie odnotowała
to SB, podkreślając w swoich
meldunkach, że przyciągnął

Ale w maju tego roku miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, istotne w aspekcie działań całej regionalnej „Solidarności”. W dniach 16–17 maja odbyła się w Świdniku druga tura I Walnego Zebrania Delegatów NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego. Wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in. Wojciech Ziemiński, znany działacz demokratycznej opozycji, oraz Kazimierz Świtoń, współtwórca Wolnych Związków Zawodowych na Górnym Śląsku. Ich wystąpienia należały do najbardziej radykalnych na zjeździe. W trakcie obrad wybrano nowe władze zarządu regionu. Przewodniczącym został Jerzy Bartczak, dotychczasowy przewodniczący Komisji Zakładowej w lubelskim MPK. Wśród nowych członków zarządu regionu znalazło się aż pięciu przedstawicieli Świdnika: Henryk Gontarz, Ryszard Kuć, Stanisław Pietruszewski, Zbigniew Puczek i Jan Sidorowicz. Ze Świdnika wybrano również pięciu delegatów na Krajowy Zjazd Delegatów „Solidarności” (Alfred Bondos, Antoni Grzegorzczak, Ryszard Kuć, Zbigniew Puczek i Andrzej Sokołowski). Tak liczna reprezentacja dowodziła znaczenia Świdnika w Regionie Środkowo-Wschodnim „Solidarności”. W czasie zjazdu wiele uwagi poświęcono dalszemu rozwojowi struktur związkowych. Szczególnie istotnym posunięciem w tym zakresie było wsparcie Wszechnicy Związkowej, mającej szkolić nowe kadry, oraz powołanie Ośrodka Badań Społecznych (OBS), którego badania miały stać się podstawą do stworzenia związkowego programu pomocy społecznej.

W czerwcu Lubelszczyznę odwiedził Lech Wałęsa. Wiele jednak wskazuje na to, że najważniejszym celem jego wizyty był udział w spotkaniu z Czesławem Miłoszem, laureatem literackiej Nagrody Nobla, jakie odbyło się 17 czerwca w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Tak czy inaczej, tamtego



dnia, po południu, Wałęsa pojawił się również w Świdniku, spotykając się z pracownikami drugiej zmiany WSK. Odpowiadał na liczne pytania i mówił o istniejącej w kraju sytuacji politycznej. Przewodniczący „Solidarności” przenocował w Świdniku i następnego dnia wziął jeszcze udział we mszy św. w miejscowym kościele, po czym wrócił do Lublina. Jego wizytę skrupulatnie „monitorowała” lubelska SB.

Lipiec 1981 był swoistym powrotem do tego, co wydarzyło się rok wcześniej. Załoga WSK postanowiła uczcić pierwszą rocznicę strajku uroczystymi obchodami. Już w trakcie przygotowań doszło do poważnej scysji z władzami, które były przeciwne postawieniu na terenie wytwórni pomnika, upamiętniającego lipcowy protest. Uznały one, że w „obecnej sytuacji gospodarczej” takie uroczystości to „zwykły przejaw rozrzutności”. Ostatecznie jednak pomnik odsłonięto 11 lipca w obecności prawie 3 tysięcy pracowników WSK i przy odgłosie fabrycznych syren. Przewodniczący zakładowej „Solidarności” Zbigniew Puczek w okolicznościowym wystąpieniu podkreślił wyjątkowość tej chwili dla historii miasta i wyraził nadzieję, że pomnik stanie się „symbolem w walce o lepsze jutro”. Alfred Bondos w zakładowym biuletynie związkowym, wracając pamięcią do lipcowego strajku, na postawione przez siebie pytanie:

„jak do niego doszło [...] w skłóconej społeczności Świdnika, dalekiej przecież od solidarnego współżycia”, odpowiadał równie prosto: „Oni nie chcieli tak dłużej żyć, [...] chcieli w drugim człowieku widzieć człowieka”.

I to była prawda, którą przypominano w czasie tych uroczystości. Ale obchody były przełomowe także z innego powodu. Biorący w nich udział biskup Zygmunt Kamiński oraz regionalny duszpasterz ludzi pracy ksiądz Mieczysław Brzozowski, którzy poświęcili odsłonięty pomnik, odprawili także pierwszą na terenie WSK mszę świętą. Od tamtej pory takie msze, jak ta z 11 lipca 1981 r., już na stałe towarzyszyły świdnickim robotnikom, zwłaszcza w najważniejszych momentach prowadzonej przez nich walki.

Sierpień zaczął się w Świdniku od ogłoszenia przez Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego gotowości strajkowej w związku z pogarszającą się sytuacją zaopatrzeniową w kraju. W rezultacie 5 sierpnia świdnicka

„Solidarność” zwołała wiec na terenie zakładu w geście solidarności z protestującym wówczas Regionem „Mazowsze”. W demonstracji wzięło udział ponad 2 tysiące pracowników WSK. Ale bardziej od sytuacji żywnościowej martwiono się sytuacją zakładu. W piśmie do I sekretarza Wojewódzkiego PZPR w Lublinie Władysława Kruka związkowcy zwrócili uwagę na pogarszające się systematycznie zabezpieczenie materiałowo-kooperacyjne produkcji w wytwórni. Wprawdzie do kolejnego strajku w fabryce nie doszło, ale sytuacja była wówczas bardzo napięta. Władze wojewódzkie w Lublinie ostrzegły nawet centralę w Warszawie, że „znajdujemy się o krok od globalnej konfrontacji”. Należało się zatem liczyć z tym, że na Lubelszczyźnie może dojść do kolejnej fali protestów i z pewnością ten, który wybuchnie w Świdniku, będzie znów najważniejszy.



We wrześniu uwagę wszystkich Polaków skupiły obrady I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Wśród 30 reprezentantów Regionu Środkowo-Wschodniego znalazło się pięciu działaczy ze Świdnika (Alfred Bondos, Antoni Grzegorzczuk, Ryszard Kuć, Zbigniew Puczek i Andrzej Sokołowski). Najciekawsze fragmenty obrad gdańskiego zjazdu były transmitowane w WSK przez zakładowy radiowęzeł i szeroko komentowane

przez pracowników. Dokumentem, który wywołał największe zainteresowanie, było przyjęte przez gdański zjazd „Posłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”. Na jego bazie świdnicka „Solidarność” przygotowała „List otwarty do załóg zakładów pracy Mińska, Leningradu i innych miast ZSRR”, w którym zaproszono je do Świdnika na spotkanie, aby dogłębnie wyjaśnić im faktyczne cele działania związku. Jak zaznaczono w liście, „Solidarność” powstała w wyniku protestu polskich robotników

„przeciwko wypaczeniom i deformacjom podstawowych zasad ustrojowych i zasad życia społecznego” w Polsce.

Treść listu mocno zirytowała wojewódzkie władze partyjne, które rękami komitetu zakładowego PZPR w WSK potępiły wspomnianą inicjatywę. To jednak dołowało tylko przysłowiowej oliwy do ognia, w efekcie czego nastąpiła kolejna „wymiana ciosów” pomiędzy stronami. Związkowcy pisali listy protestacyjne zarzucając władzom, że nie wywiązują się z zawartych w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu porozumień. Jedno z takich pismo trafiło nawet do Biura Politycznego KC PZPR w Warszawie. Z kolei władze partyjne usiłowały rozładować zaistniałą sytuację, organizując spotkanie z załogą WSK, ale nie przyniosło ono oczekiwanego rezultatu. Było nawet gorzej. W trakcie spotkania przewodniczący zakładowej „Solidarności” Zbigniew Puczek zarzucił władzom, że fatalna sytuacja zaopatrzenia w najbardziej niezbędne produkty jest spowodowana między innymi tym, że są one wywożone do Związku Sowieckiego. Na dowód tego odczytał raport związkowców z przejścia granicznego w Medyce, dotyczący ilości wagonów z towarami, jakie wyekspediowane zostały od marca do września 1981 roku na Wschód. Na przedstawione fakty władze nie potrafiły znaleźć żadnej odpowiedzi. To był dla nich prawdziwy nokaut.

Chyba m.in. dlatego na przełomie września i października władze rozpoczęły działania, których prawdziwy sens można było w pełni odczytać dopiero kilka miesięcy później. Otóż aktyw partyjny w poszczególnych zakładach pracy uruchomił cykl spotkań z oficerami Ludowego Wojska Polskiego (LWP), aby zapoznać ich z panującą w przedsiębiorstwach sytuacją. Do takiego spotkania doszło również w WSK. W jego trakcie związkowcy zapytali przybyłych wojskowych, jakie stanowisko zajmie armia, jeśli w kraju wprowadzony zostanie stan wyjątkowy? Ale nie usłyszeli od nich jasnej odpowiedzi, co tylko

wzmocniło podejrzenia, że władze rzeczywiście przygotowują się do ostatecznej konfrontacji z „Solidarnością”.

Październik upłynął w Świdniku pod znakiem dalszego wzrostu niezadowolenia z pogarszającej się sytuacji egzystencjalnej w mieście i tego, że władze nie robią nic, aby ją poprawić. Przeprowadzono kolejne akcje strajkowe. Jedna z nich została przeprowadzona 28 października, wówczas – podobnie jak w innych zakładach pracy – w WSK odbył się jednogodzinny strajk ostrzegawczy w proteście przeciwko nieudolnej polityce państwa.

Listopad był kulminacyjnym momentem niezadowolenia społecznego z powodu braku jakichkolwiek działań władz zmierzających do wyjścia z kryzysu gospodarczego. Sytuacja stawała się wręcz tragiczna. W sklepach brakowało wszystkiego, a najbardziej mięsa. Jeśli już się pojawiło, to zazwyczaj ustawały się tasiemcowe kolejki, choć zdawano sobie sprawę z tego, że i tak nie starczy dla wszystkich. W Świdniku punkt krytyczny osiągnięto 9 listopada 1981, kiedy przewodniczący zakładowej „Solidarności” Zbigniew Puczek w związku z notorycznymi pustkami w sklepach zagroził naczelnikowi miasta „wywiezieniem go na tacze”, o ile sytuacja nie ulegnie chociaż częściowej poprawie. Pokłosiem tego wystąpienia było spotkanie władz Świdnika z komisją zakładową „Solidarności”, która zagroziła zorganizowaniem w mieście marszu głodowego. Nic to jednak nie zmieniło, bo zmienić już nie mogło. Kolejne podwyżki cen, w tym również benzyny, jeszcze bardziej radykalizowały postawę świdnickich robotników. W efekcie 20 listopada do Komitetu Zakładowego PZPR wpłynęły rezolucje z 17 działów i wydziałów WSK. Ich sygnatariusze domagali się powrotu do wcześniejszych cen benzyny oraz reglamentacji jej sprzedaży. Zarzucono władzom całkowite lekceważenie społeczeństwa widoczne najbardziej na przykładzie wprowadzanych podwyżek cen. Ważnym tematem stała się w listopadzie sprawa funkcjonowania zakładowej PZPR, której wielu byłych członków od dawna należało do „Solidarności”. Ponieważ fabryka miała 1 stycznia 1982 r. przejść na system samofinansowania, Zakładowa Komisja „Solidarności” zażądała od dyrekcji, aby ta zniosła wszystkie etaty osób zatrudnionych w przyzakładowych organizacjach związkowych i politycznych. Wszyscy dobrze wiedzieli, że chodzi przede wszystkim o zakładową PZPR i zależne od niej branżowe związki, które skupiały wtedy już tylko niewielką część załogi. W przyjętej przez związkowców uchwale zapisano, że „95 proc.

załogi zrzeszonej w NSZZ »Solidarność« nie ma zamiaru utrzymywać i opłacać organizacji związkowych i politycznych z funduszy wypracowanych swoją ciężką pracą”. Na kanwie działalności organizacji związkowych i politycznych w zakładzie, świdnicka „Solidarność” wezwała rząd do przyspieszenia prac nad wprowadzeniem nowego modelu kontroli społecznej nad gospodarką (Komisja Krajowa „Solidarności” postulowała utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej), a także przyspieszenia demokratyzacji życia oraz wprowadzenia reformy, która pozwoliłaby wyjść z głębokiego kryzysu gospodarczego, w jakim znajdowała się Polska. W przypadku dalszego lekceważenia tych żądań związkowcy z „S” zadeklarowali podjęcie działań protestacyjnych na znacznie szerszą skalę niż to było dotychczas. Ale władze nie zamierzały już reagować na te żądania. Miały bowiem przygotowany swój własny plan „rozwiązania” sytuacji w kraju.



Pierwsza dekada grudnia mogła zapowiadać, że ten plan władze niebawem zechcą wprowadzić w życie. W Sejmie był już bowiem projekt ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach dla rządu. W ślad za deklaracjami Komisji Krajowej „Solidarności”, Komisja Zakładowa WSK zakomunikowała, że jeśli Sejm rzeczywiście przyjmie zaproponowany projekt, to każdy członek związku ma obowiązek stawić się w swoim zakładzie pracy. W trakcie posiedzenia zakładowej „Solidarności” rozważano również działania w fabryce. Dla wszystkich biorących udział w zebraniu było jasne, że władze wykorzystają te uprawnienia do podjęcia działań, które będą zmierzały do ostatecznej rozprawy z NSZZ. Inicjatywę „Solidarności” w WSK potępił I sekretarz zakładowej PZPR Andrzej Wąsowicz, który odczytał w radiowęźle tekst przygotowanego mu wcześniej w Lublinie wystąpienia. Wzburzyło to związkowców do tego stopnia, że dwa dni później w trybie natychmiastowym zażądali od niego wyjaśnień. W czasie spotkania, do którego doszło w Sali Konferencyjnej WSK, Wąsowicz pokajał się jednak i wyjaśnił, że tekst wystąpienia napisano mu w Komitecie Wojewódzkim PZPR w Lublinie i zmuszono do jego odczytania w zakładowym radiowęźle. Zakomunikował również zebranym, że rezygnuje z funkcji I sekretarza zakładowej PZPR i zwrócił się z prośbą o przyjęcie go do pracy w fabryce jako zwykłego pracownika (formalnie był na etacie KW PZPR w Lublinie). Zadeklarował, że chce być razem z załogą. Wzbudził tym politowanie u wszystkich, którzy byli świadkami tego zdarzenia.

Przypadek Wąsowicza był sygnałem znacznie szerszego zjawiska, jakie dotyczyło wówczas PZPR, czyli nagminnego porzucania szeregów przez jej członków. Tak było w zakładach pracy w całym kraju, nie inaczej działo się w świdnickiej wytwórni.

Jednak bohaterem tamtego spotkania nie był wcale wspomniany Wąsowicz, lecz dyrektor WSK Jan Czogała, który już od dłuższego czasu starał się sprzyjać związkowcom zakładowej „Solidarności”. Czogała w czasie swojego wystąpienia zaskoczył



wszystkich, bo wyartykułował wprost swój sprzeciw wobec nadzwyczajnych uprawnień dla rządu i jasno zakomunikował, że to „Solidarność” jest jedyną siłą polityczną zdolną do opanowania trudnej sytuacji w kraju. Padły gromkie oklaski zebranych, wielu związkowców wznosiło okrzyki w rodzaju: „To jest nasz człowiek!”. Związkowcy wiedzieli już, że będą mogli liczyć na dyrektora, kiedy nadejdzie najtrudniejszy czas. A ten zbliżał się wielkimi krokami. Władze partyjne w Lublinie na bieżąco starały się monitorować sytuację w WSK. W raportach wysyłanych teleksem do Komitetu Centralnego w Warszawie nie było już żadnych dobrych informacji ze Świdnika. W ostatnim z nich, wysłanym 12 grudnia, donoszono, że

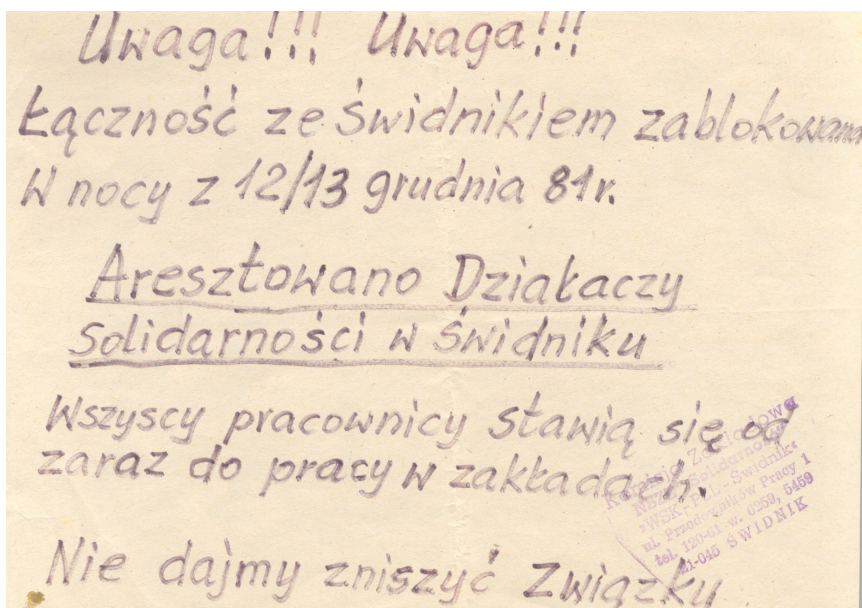
„w WSK w Świdniku wzmożło się oddawanie legitymacji partyjnych. Podłożem tego jest publiczne zrzeczenie się pełnienia funkcji przez I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR, sygnalizowany jest nacisk na członków partii, jak np. »kolej na ciebie«, »kiedy ty rzucisz legitymację?«. Notowane są głosy o potrzebie przeniesienia Komitetu Zakładowego PZPR do baraku stojącego poza zakładem. Powtarzają się głosy aby [zakładowe – LP] ORMO przeszło pod nadzór Solidarności”.

Władze były już pewne, że świdnicka WSK będzie „twardym orzechem do zgryzienia”, jeśli w kraju uruchomiony zostanie plan wprowadzenia stanu wyjątkowego. I to przekonanie nie było bezpodstawne. Wytwornia była bowiem jednym z największych zakładów tego typu w kraju, a do tego miała zdeterminowaną do działania załogę. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że Świdnik stanowi swoiste centrum strajkowe na Lubelszczyźnie. Tak było już w lipcu 1980 roku. Do „Solidarności” należało prawie 90 proc. spośród ponad 9-tysięcznej załogi WSK. Tamtejsza „Solidarność” od początku miała bardzo silne struktury i udzielała wsparcia innym ogniom organizacyjnym związku (np. pomoc dla regionalnych struktur „Solidarności Rolniczej”) bądź była ich patronem (m.in. nad NSZZ „Solidarność” przy Sądzie Wojewódzkim i Sądzie Rejonowym w Lublinie). Władze musiały więc brać pod uwagę to, że opanowanie sytuacji w Świdniku będzie wymagało zaangażowania znacznie większych sił i środków niż gdzie indziej. A poza tym nikt nie był w stanie przewidzieć, jaki będzie ostateczny efekt ich użycia w Świdniku. Przekonano się o tym już wkrótce, bo czas „Solidarności” w grudniu 1981 roku dobiegł końca!

Rozdział V

Mroki stanu wojennego

Plan wprowadzenia stanu wojennego, bo tak władze postanowiły go nazwać, był przygotowany już w październiku 1981 roku. Ostateczna decyzja o jego wdrożeniu zapadła jednak dopiero rankiem 12 grudnia tego roku. To właśnie wtedy w Urzędzie Rady Ministrów (URM) odbyło się spotkanie, w którym obok I sekretarza KC PZPR generała Wojciecha Jaruzelskiego udział wzięli szef jego gabinetu generał Michał Janiszewski oraz szefowie: MON – generał Florian Siwicki i MSW – generał Czesław Kiszczak. Przekonali oni Jaruzelskiego do natychmiastowego wcielenia planu w życie, a jako argumentów użyli m.in. sprawy 46 tysięcy żołnierzy starego poboru, którzy za kilka dni mieli odejść do cywila. Wskazali też, że idealnym momentem jest noc z soboty na niedzielę, bo – jak podkreślili – zakłady pracy stoją wówczas puste, co zdecydowanie ułatwi



ich szybkie opanowanie.

I rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia przed północą siły wojska i MSW przystąpiły do działania na terenie całego kraju. Ich pierwszym celem miało być zablokowanie węzłów łączności, obstawienie najważniejszych linii kolejowych i drogowych oraz opanowanie strategicznych obiektów, zwłaszcza kluczowych zakładów pracy. Niemal równocześnie rozpoczęto aresztowania działaczy „Solidarności”. Chodziło przede wszystkim o tych, na których spoczywał ciężar kierowania strukturami terenowymi. Mieli oni zostać umieszczeni w przygotowanych wcześniej specjalnych ośrodkach dla internowanych.

Takie działania miały miejsce również w Świdniku. Wśród aresztowanych działaczy świdnickiej „Solidarności” znaleźli się m.in. przewodniczący Komisji Zakładowej WSK Zbigniew Puczek, jego zastępczyni Zofia Bartkiewicz, Antoni Grzegorzczak oraz Ryszard Kuć, który pełnił wówczas funkcję zastępcy przewodniczącego Zarządu Regionu ds. organizacyjnych. Jednak nie wszyscy świdniccy działacze, których nazwiska znalazły się na listach internowanych, wpadli w ręce sił wprowadzających stan wojenny. Tak było m.in. w przypadku redaktora związkowego „Grota” Alfreda Bondosa oraz Andrzeja Sokołowskiego, zastępcy przewodniczącego Komisji Zakładowej „Solidarności” w WSK. Ten pierwszy w brawurowy sposób wyskoczył przez balkon swojego mieszkania, zanim weszli do niego ci, którzy mieli go aresztować. Drugi miał jeszcze więcej szczęścia, bo został ostrzeżony wcześniejszym aresztowaniem mieszkającego w tej samej klatce Mariana Smalca i w konsekwencji udało mu się zbiec do piwnicy, gdzie przeczekał całą akcję. Obydwaj przedostali się do WSK i włączyli do działań podejmowanych przez związek w zakładzie. Ale o aresztowaniach członków Komisji Zakładowej „Solidarności” ostrzegli również swoich kolegów Leszek Świdorski i Bronisław Sołek. Tamtej nocy udało im się dotrzeć do Urszuli Radek, technologa w WSK, która z kolei zdążyła o aresztowaniach poinformować telefonicznie innych działaczy związku zanim jeszcze wyłączono telefony.

Pierwsi działacze „Solidarności” pojawili się na terenie WSK około godz. 3 w nocy. Jakiś czas potem odbyło się zebranie organizacyjne. W jego trakcie zapadła decyzja o uruchomieniu przygotowań do strajku okupacyjnego

w fabryce. W ciągu następnych godzin przybywali kolejni pracownicy wytwórni i rankiem 13 grudnia było już ich prawie tysiąc. Wśród nich był dyrektor Jan Czogała. To właśnie wtedy odbył się wiec, w trakcie którego powołano Komitet Strajkowy. Jego przewodniczącym został Stanisław Pietruszewski. Obok niego w skład komitetu weszli Andrzej Sokołowski (wiceprzewodniczący), Eugeniusz Antoniewicz, Aleksander Bachur, Alfred Bondos, Leszek Graniczka, Józef Kępski, Ryszard Krzyżanek, Włodzimierz Mazurek, Andrzej Perzak, Eugeniusz Popkiewicz, Stanisław Wocior, Stanisław Zieliński. Komitet Strajkowy przejął kontrolę nad całym zakładem. Stworzył służbę porządkową i nakazał pracownikom zabarykadowanie bram wjazdowych przy pomocy samochodów ciężarowych, spychaczy, wózków akumulatorowych i innego sprzętu. Na dachach poszczególnych budynków świdnickiej wytwórni umieszczono obserwatorów z krótkofalówkami, którzy mieli obserwować okolicę. Chodziło przede wszystkim o przekazywanie informacji o zbliżających się siłach wojska i milicji. Z kolei przed bramą główną umieszczono kilka kolumn głośnikowych o dużej mocy. Za ich pomocą wezwano mieszkańców Świdnika do przyłączenia się do strajkującej załogi. Napięcie rosło z godziny na godzinę. W południe na przyzakładowym lotnisku wylądowały wojskowe śmigłowce

całość wojska została
wyprowadzona z terenu
NSK - przebywają obecnie
w hali sportowej

15.12.81

O godz. 14⁰⁰ pod zakład podjechały: ok. 20
samochodów ciężarowych i 2 ciężkie samochody terenowe
odjechały (2 samochody stały w cmentarzu). Zostały
odholowane stamtąd (pojedynczo i seriami) z pomocą
naboi. Zaraz potem wszystkie pojazdy odjechały
w stronę lasu za lotniskiem.

Svidnik, dnia 13.2.1981 r.

[illegible]

stał się najważniejszą fortecą robotników Lubelszczyzny, którzy podjęli protesty przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego.

[Handwritten signature]

w trakcie którego skierowano apel do żołnierzy o niestosowanie siły. Po nim odbyła się msza św. na terenie zakładu, którą celebrował przybyły z miasta ksiądz Jan Hryniewicz. Podczas niej zwrócono się do biskupa lubelskiego Bolesława Pylaka z prośbą o zapewnienie strajkującym i ich rodzinom opieki duszpasterskiej.

Noc z 14 na 15 grudnia upłynęła pod znakiem pozorowanego ataku sił wojskowo-milicyjnych. Przybyłe w rejon WSK czołgi podjechały pod bramy wjazdowe zakładu, padły serie z broni maszynowej. Jednak po pewnym czasie czołgi wycofały się. Jak się potem okazało, atak ten miał jedynie wywołać panikę wśród strajkującej załogi.

Rankiem 15 grudnia udający się do pracy zostali zatrzymani przy bramie głównej WSK przez kordon wojska. W południe doszło do spotkania przedstawicieli Komitetu Strajkowego z delegacją władz (w jej składzie byli



m.in. komisarz wojskowy zakładu, prokurator wojskowy, wojewoda lubelski, naczelnik miasta), które przekazały informację o odrzuceniu zgłaszanych postulatów i wezwały protestujących do opuszczenia zakładu. Kilka godzin później pojawił się komunikat o odwołaniu z pełnionego stanowiska dyrektora WSK Jana Czogały. Było już wtedy jasne, że władze szykują się do ostatecznego ataku. I tak rzeczywiście się stało. Około 1 w nocy 16 grudnia teren zakładu został ponownie otoczony przez czołgi, pojazdy opancerzone oraz jednostki wojska i ZOMO. Najpierw czołgi przebiły w kilku miejscach mur okalający fabrykę, a zaraz potem do akcji wkroczyły siły milicji i wojska, które zaatakowały strajkujących petardami z gazem łzawiącym. Padły serie z ostrej amunicji. Bardzo niewiele brakowało, aby połała się krew. Ostatecznie do tego nie doszło, bo robotnicy wykazali się wielką mądrością. Aby uniknąć takiego scenariusza



stawiali wkraczającym do zakładu siłom wojskowo-milicyjnym tzw. bierny opór, co rzeczywiście zapobiegło rozlewowi krwi. Strajkujące kobiety, wśród nich Marta Jurak, Halina Kuryło i Urszula Radek, wzięły pęk białoczerwonych goździków z zakładowej kwiaciarni. Chciały je wręczyć żołnierzom wkraczającym na teren zakładu. Ten pokojowy i symboliczny gest nie został doceniony. Za czołgiem rozbijającym mur wbiegło bowiem rozwścieczone ZOMO. Kwiaty rzucono w śnieg, a Halinę Kuryło koledzy z zakładu wyrwali z łap atakujących.

Gdy siły wojskowo-milicyjne opanowały już teren wytwórni, obsadzając swoimi ludźmi jej bramy wjazdowe, strajkującym nakazano opuszczenie zakładu. Trwało to jednak wiele godzin i nie obyło się bez „pałowania”. Aresztowanych zostało wówczas około 40 działaczy fabrycznej „Solidarności”, z których 22 zostało potem internowanych. W grupie tej znaleźli się m.in. przywódcy strajku w WSK: Aleksander Bachur, Leszek Graniczka, Józef Kępski, Andrzej Perzak, Stanisław Pietruszewski, Stanisław Pyć, Aleksander Sidorowicz i Stanisław Zieliński. Wśród aresztowanych znalazł się również odwołany ze stanowiska dyrektor Jan Czogała.

Ale nie wszyscy zdecydowali się opuszczenie terenu WSK. Wspomniany Alfred Bondos postanowił pozostać i przez kolejne cztery miesiące ukrywał się m.in. w pomieszczeniu z acetylenem, a potem w zakładowym kanale ciepłowniczym. Dopiero w kwietniu 1982 r. udało mu się niepostrzeżenie opuścić zakład, pomimo podwójnych posterunków strażniczych, wywieziony samochodem zakładowym,.

17 grudnia wszystkim pracownikom WSK odebrane zostały przepustki, co wywołało powszechne oburzenie. Część załogi domagała się bojkotu tej decyzji. Ale na niewiele się to zdało. Była to kolejna trudna sytuacja, z jaką musieli się zmierzyć robotnicy. W jej rozwiązaniu pomógł ksiądz Jan Hryniewicz, który zawsze był dla nich wielkim autorytetem. Rozważny proboszcz świnińskiej parafii najpierw odprawił mszę św. w intencji robotników, a potem nakazał im powrót do pracy, bo nie widział innego rozwiązania. Wrócili do niej dopiero 4 stycznia 1982 roku, po tym jak zakończyła się zarządzona przez władze przymusowa przerwa w funkcjonowaniu zakładu (od 23 grudnia do 4 stycznia). W międzyczasie wprowadzono w WSK nowy „porządek”.

Dyrektorem komisarycznym został Jan Świerczek, natomiast komendantem wojskowym WSK mianowano płk. Ordę. Nowe kierownictwo postanowiło oczyścić fabrykę z głównych „wichrzycieli”. W efekcie wielu członków zakładowej „Solidarności” musiało pożegnać się z pracą. W grupie tej znaleźli się m.in. Eugeniusz Antoniewicz, Władysław Batalia, Zbigniew Brytan, Marian Gołuszek, Krzysztof Goś, Witold Iwanicki, Zygmunt Karwowski, Ryszard Krzyżanek, Józef Lubaś, Marian Matysek, Kazimierz Pierchala, Kazimierz Szawarski, Ryszard Szpilewski, Stanisław Wocior, Zbigniew Wysocki i Tadeusz Zima. Grudniowy strajk w świdnickiej wytwórni w opinii wielu historyków był jednym z najlepiej zorganizowanych spośród wszystkich odbywających się w kraju w pierwszych dniach stanu wojennego. Władze musiały też użyć znacznie większych sił do jego spacyfikowania. Był również ostatnim akordem funkcjonowania na terenie Świdnika legalnej „Solidarności”, która musiała przejść do podziemia.

O to zadbano zresztą wcześniej. Jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego przygotowano tajną listę działaczy związku, którzy mieli podjąć w Świdniku podziemną działalność, jeśli tylko zajdzie taka konieczność. O istnieniu listy i miejscu jej ukrycia powiadomił Urszulę Radek przewodniczący Zbigniew Puczek. Spotkali się nieoczekiwanie na terenie zakładu, do którego Puczek przywieziono z Zakładu Karnego we Włodawie celem protokolarnego przejścia majątku i środków finansowych należących do zakładowej „Solidarności”. Puczek poprosił, aby Urszula Radek była świadkiem tych czynności. I właśnie wtedy udało mu się dyskretnie przekazać, że

„za listwami w biurze jest »drugi garnitur«”.

Lista rzeczywiście była ukryta w zaklejonej kopercie umieszczonej za listwami. Stała się podstawą do zorganizowania nowej Komisji Zakładowej „Solidarności” WSK (Tymczasowa Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność” WSK), która teraz miała działać w podziemiu. Pierwsze spotkanie w tej sprawie odbyło się już 20 grudnia 1981 r. i uczestniczyli w nim m.in. Zygmunt Karwowski, Ryszard Krzyżanek, Adam Oleszek i Kazimierz Suszał. Dwaj ostatni w oparciu o propozycje personalne zawarte na liście skompletowali Komisję i wzięli na siebie główny ciężar zorganizowania bieżących działań. W jej skład, obok Kazimierza Susza jako przewodniczącego i Adama Oleszka jako wiceprzewodniczącego, weszli

m.in. Mirosław Kaczan, Zbigniew Kursa, Tadeusz Mazur i Urszula Radek.

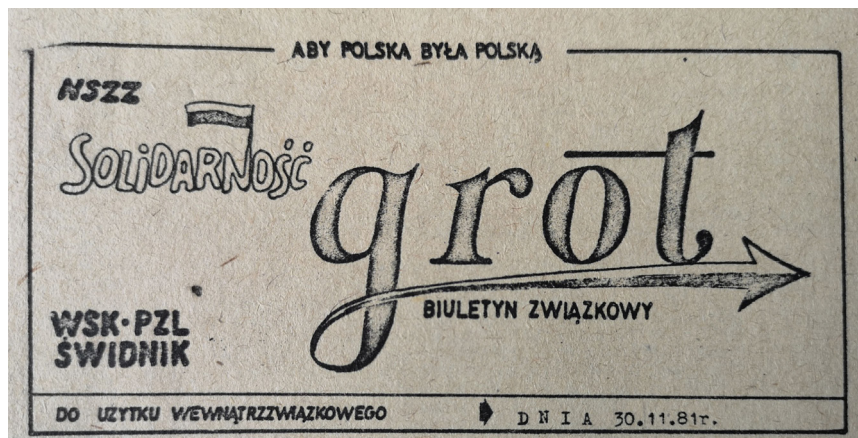
Jednym najważniejszych zadań dla działającej w podziemiu Tymczasowej Komisji Zakładowej „Solidarności” stało się zorganizowanie bieżącej pomocy materialnej dla zwolnionych z WSK związkowców i ich rodzin oraz udzielenie bieżącej pomocy finansowej dla działaczy, którzy zostali ukarani dotkliwymi grzywnami. W pierwszych tygodniach stanu wojennego z kasy Komisji Tymczasowej wydano na ten cel ponad 475 tysięcy złotych, ale i tak okazało się za mało. Wydatnego wsparcia udzielił związkowcom także ks. Jan Hryniewicz, który w swojej parafii zorganizował komisję socjalną, zajmującą się rozdzielaniem pomocy materialnej, która płynęła do Świdnika z zagranicy. Proboszcz wyasygnował również ze środków finansowych parafii dodatkowe 650 tysięcy złotych na ten cel. Jego parafia bardzo szybko stała się najważniejszym w mieście punktem, gdzie można było otrzymać pomoc materialną i finansową w tych najtrudniejszych miesiącach, kiedy trwał stan wojenny. Znaczącego wsparcia udzielił również Prymas Józef Glemp, który przekazał około 2 mln złotych. Część tych środków przeznaczona została dla internowanych we Włodawie, gdzie przebywali działacze „Solidarności” ze Świdnika, ale także spoza regionu. W kolejnych miesiącach, zwłaszcza po grupowych zwolnieniach



uczestników strajku w WSK z 13 maja 1982 r., szerokim strumieniem popłynęła do Świdnika pomoc z zagranicy.

Równolegle prowadzono również działalność stricte organizacyjną. Aby usprawnić podziemną „Solidarność” odbudowano m.in. część starych kontaktów. Dzięki nim utrzymywana była łączność z innymi ogniwami podziemnej „Solidarności”, nie tylko zresztą na Lubelszczyźnie. Świdniccy związkowcy mieli kontakty z Gdańskiem, Warszawą, Mielcem i innymi dużymi ośrodkami w kraju.

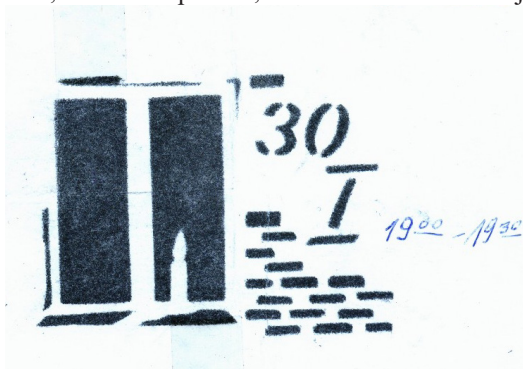
Zorganizowano również sieć kolportażu podziemnej prasy i wydawnictw związkowych. Została ona podzielona na cztery główne sektory. W każdym z nich prowadzono odrębnie kolportaż i zbierano pieniądze na działalność związkową. W znacznej mierze szły one na zasiłki dla zwalnianych z pracy oraz na kary pieniężne, jakie władze stanu wojennego nakładały na świdnickich działaczy „Solidarności”. O rezultatach tych akcji można było przeczytać w biuletynie „Grot”, którego pierwszy podziemny numer ukazał się już w styczniu 1982 roku. Drukowano go najpierw na powielaczach, które świdniccy związkowcy otrzymali z Zakładu Poligrafii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a potem na maszynach przekazanych do Świdnika z Regionu Środkowo-Wschodniego „Solidarności” w Lublinie. Z podziemnym „Grotem” była wówczas związana cała grupa działaczy, którzy redagowali teksty, przygotowywali skład i druk (m.in. Kazimierz Bachanek, Alfred Bondos, Marek Brzozowski, Andrzej



Borys, Mirosław Kaczan, Kazimierz Kasperski, Zbigniew Kursa, Cezary Listowski, małżeństwo Barbara i Mirosław Radomscy, Andrzej Sokołowski, Stanisław Wiejak) oraz zajmowali się bieżącym kolportażem pisma (m.in. Bolesław Karczmarczyk, Marian Król, Sławomir Łuczak, Adam Oleszek, Ryszard Pasek). Ogromną pomoc w dystrybucji „Grota” i innych podziemnych wydawnictw odegrała świdnicka „Solidarność Młodych”, młodzieżowa organizacja działająca przy podziemnych strukturach „S”. Skupiała ona głównie uczniów szkół średnich, którzy od początku stanu wojennego zaangażowali się we wspieranie działań związku. Oprócz kolportażu podziemnych publikacji zajmowali się również przygotowaniem patriotycznych prezentacji, jakie odbywały się w świdnickim kościele, organizowaniem podziemnych spotkań dyskusyjnych, a także wydawaniem własnego biuletynu zatytułowanego „Solidarność Młodych”. W organizacji młodzieżowej, która po scaleniu przyjęła nazwę Grupa Polityczna „Korona”, działali bracia Romuald i Andrzej Gumienniak, Andrzej Kaciuczyk, Robert Kasiura, Marcin Koperwas, bracia Dariusz i Andrzej Mańka, Piotr Nawrocki, Ireneusz Niedziałek, Włodzimierz Radek, Mariusz Węs, Wojciech Wiśniewski, Jacek Wrzos i in.

Efekty działalności podziemnej „Solidarności” było widać w Świdniku już w styczniu 1982 roku. Nie mogło zatem dziwić, że

wywarły one znaczący wpływ na postawę mieszkańców, którzy w zdecydowanej większości odrzucali rzeczywistość stanu wojennego. Dali temu wyraz po raz pierwszy wieczorem 5 lutego, gdy w porze nadawania reżimowego „Dziennika Telewizyjnego” spontanicznie wyszli na ulice, aby w ten sposób sprzeciwić się propagandowym kłamstwom ekipy generała Wojciecha Jaruzelskiego. Na pomysł „świdnickich spacerów” wpadł Jan Kaźmierczak, były trener bokserski i przewodniczący koła emerytów, który podzielił się ideą ze swoimi kolegami z podziemnej „Solidarności”. Błyskawicznie wcielono ją w życie i już po kilku dniach na wieczorne spacery zaczęły wychodzić setki świdniczan, niekiedy nawet całe rodziny. Mieszkańcy bloków przy ulicy Sławińskiego (dzisiaj



Niepodległości), przy której odbywały się spacery, wystawiali wówczas telewizory skierowane ekranem do okna. To był symbol ich sprzeciwu wobec nachalnej propagandy stanu wojennego. Bardzo szybko wiedza o „świdnickich spacerach” trafiła do innych miast. Zaczęło o nich mówić Radio Wolna Europa i inne zagraniczne rozgłośnie emitujące programy w języku polskim, skrupulatnie zagłuszane przez władze. Zaniepokojone władze województwa lubelskiego od razu przystąpiły do działania. Przesunęły obowiązywanie godziny milicyjnej w Świdniku z godziny 22 na 19 (decyzję obwieszczono w zarządzeniu nr 6/82 Wojewódzkiego Komitetu Obrony w Lublinie). Wyłączono światło na ulicach i ponownie zablokowano telefony w mieście. Wielokrotnie odcinano również mieszkańcom dostawy energii elektrycznej i wody oraz wprowadzono zakaz ruchu samochodów osobowych. To i tak nie zniechęciło świdniczan do udziału w spacerach. W odpowiedzi władze postanowiły użyć jeszcze ostrzejszych represji i internowały wielu spacerowiczów (m.in. Ryszarda Krzyżanka, Bronisława Sołka, Leszka Świderskiego, Stanisława Wociora i Tadeusza Zimę). Po tym, jak w Świdniku pojawiły się silne oddziały ZOMO wyposażone w samochody z armatkami wodnymi, istniała obawa, że władze zechcą brutalnie spacyfikować spacerzy. Wtedy ksiądz Jan Hryniewicz zaapelował do mieszkańców, a ci jak



zawsze go posłuchali i zaniechali wychodzenia na ulice w porze „Dziennika Telewizyjnego”.

Wiosną zainicjowane przez świdniczan spacery przeniosły się do Lublina, Puław, a potem do wielu innych polskich miast. Organizowano je m.in. w Białymstoku, Bielsku-Białej, Elblągu, Sochaczewie i Garwolinie. Nietypową formę protestu postanowił uwiecznić także biorący w nim udział świdnicki bard Jan Kondrak, który napisał pieśń „Pożegnanie z Marią – świdnickie spacery”. Po latach, oprócz pamięci ich uczestników, stała się ona swoistym zapisem świdnickich spacerów. Śpiewana jest przy okazji obchodów kolejnych rocznic.

Ale nie tylko spacery były wyrazem sprzeciwu mieszkańców Świdnika wobec polityki władz stanu wojennego. Bardzo popularną formą oporu stało się malowanie zwanych „antypaństwowymi” haseł w miejscach publicznych. Zazwyczaj były nanoszone farbą tam, gdzie łatwo dało się je zauważyć, np. przy drodze wiodącej z miasta do WSK. Treść haseł była bardzo różna i zależała od inwencji autorów, ryzykujących surową karę w przypadku ujęcia przez organa porządku, systematycznie patrolujące miasto. „Orla Wrona nie pokona” (WRON – Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego) czy „Solidarność Walczy” pojawiały się najczęściej. Malowanie „antypaństwowych” haseł dodawało sporo splendoru tym, którzy to robili, podobnie zresztą jak noszenie przypiętego do odzieży opornika, symbolizującego opór przeciwko polityce władz.

Na początku maja 1982 roku z inicjatywy kilku związkowych działaczy (Andrzej Sokołowski, Kazimierz Suseł i Danuta Winiarska) powołano podziemną Regionalną Komisję Koordynacyjną „Solidarności” (RKK), na czele której stanął Sokołowski. Było to wynikiem powołania kilkanaście dni wcześniej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności” (TKK) na szczeblu krajowym. RKK miała lepiej koordynować działalność wszystkich podziemnych struktur na Lubelszczyźnie. I rzeczywiście, po pewnym czasie skupiła wokół siebie podziemne komórki związku z prawie 200 zakładami pracy z całego regionu. Jednak Służba Bezpieczeństwa też nie próżnowała. To, co działało się w Świdniku, śledziła z wielką uwagą od samego początku stanu wojennego. W styczniu 1984 roku zaczęły się aresztowania osób związanych z RKK, w wyniku których kilka miesięcy później zakończyła ona swoją działalność.

Maj 1982 r. był dla świdnickiej „Solidarności” bardzo ważnym momentem. 13 maja przed południem w WSK miał miejsce 15-minutowy strajk protestacyjny, w którym udział wzięła zdecydowana większość pracowników pierwszej zmiany (około 3,5 tys.). Był częścią ogólnopolskiej akcji ogłoszonej przez podziemną Tymczasową Komisję Koordynacyjną „Solidarności”. Szefowie związku w Świdniku mieli początkowo wątpliwości odnośnie przyłączenia się do tej akcji. Ostatecznie jednak zdecydowali, że załoga WSK będzie w niej uczestniczyć. Tyle że cena okazała się nader wysoka. Z pracy zwolnionych zostało 300 uczestników tego strajku. Kolejni dołączyli do internowanych w grudniu 1981 r. Wśród nich znaleźli się m.in. Stanisław Bodys, Eugeniusz Bożyk, Antoni Cholewa, Jan Dudek, Henryk Gontarz, Zygmunt Karwowski, Kazimierz Pierchala, Józef Portka i Alfred Wróbel. Po tych represjach działalność „Solidarności” na terenie fabryki musiała zostać znacznie bardziej



zakonspirowana. Tak czy inaczej, tamten strajk okazał się dla działaczy gorzkim doświadczeniem. Stało się jasne, że kontynuowanie walki będzie ich sporo kosztować.

Koniec czerwca był jednocześnie początkiem upragnionych wakacji, które zawsze kojarzone były z wypoczynkiem. Nie mogły jednak na to liczyć

dzieci związkowców, zwłaszcza te, których rodzice byli internowani, przebywali w aresztach i więzieniach bądź zostali zwolnieni z pracy w ramach represji za majowy protest. Właśnie wtedy w kręgu świdnickiej „Solidarności” narodziła się fantastyczna idea zorganizowania wypoczynku dla dzieci represjonowanych związkowców. Po roku przybrała nazwę „Wakacje z Bogiem”. Dzięki wsparciu Kościoła organizowane były wakacyjne kolonie i obozy w różnych miejscach Polski. W akcję zaangażowało się wiele osób. Nieocenioną rolę w jej prowadzeniu odgrywał Alfred Bondos, który odpowiadał za zorganizowanie zaopatrzenia żywnościowego dla kolonii i obozów. Związkowym samochodem dostawczym marki „Żuk” przemierzał setki kilometrów, aby wywieźć z tego zdania. Nie było ono łatwe z uwagi na wielokrotne uszkodzenia auta dokonywane przez SB. Równie mocno w akcję zaangażowane były świdnickie kobiety (m.in. żona Alfreda Bondosa – Alina oraz Teresa Nowak, Danuta Domaradzka). Świdnicka inicjatywa szybko rozpowszechniła się w całej Polsce. Uruchomiono ją praktycznie we wszystkich regionach „Solidarności” i z powodzeniem kontynuowano w następnych latach. Tak było do końca ponurej epoki rządów generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Lato 1982 roku przyniosło zmianę w działalności, bardzo istotną z perspektywy aktywności podziemnej „Solidarności” w Świdniku w następnych miesiącach stanu wojennego. Otóż w czerwcu z internowania wyszła grupa związkowców, w której znaleźli się m.in. Stanisław Bodys, Eugeniusz Bożyk, Antoni Cholewa, Jan Dudek, Henryk Gontarz, Ryszard Krzyżanek, Kazimierz Pierzchała, Józef Portka, Bronisław Sołek, Stanisław Wocior i Tadeusz Zima. Pomimo tego, że po opuszczeniu „internatu” byli monitorowani przez SB, włączyli się do podziemnej aktywności. Miało to znaczący wpływ na efekty działań „Solidarności” w kolejnych miesiącach.

W październiku w położonym nieopodal Świdnika Krępcu zorganizowano spotkanie z udziałem kilkudziesięciu działaczy związku. Jego zasadniczym celem było przeprowadzenie wyborów do podziemnej Komisji Zakładowej „Solidarności” w WSK. Spotkanie, pierwsze tak duże od początku stanu wojennego, było mocno zakonspirowane, a jego uczestnicy zamiast nazwiskami posługiwali się jedynie numerami swoich mandatów. Szefami podziemnej Komisji Zakładowej zostali, de facto już nią kierujący, Kazimierz Suseł jako przewodniczący i Adam Oleszek – jego zastępca. Ponadto w jej skład

weszli m.in. Mirosław Kaczan, Ryszard Kimak, Witold Kursa, Tadeusz Mazur, Edward Prażmo i Eugeniusz Rybak. Zmieniła się również organizacja Komisji Zakładowej. Powołano działy: socjalny, szkoleniowy, drukarski i finansowy. Z formalnego punktu widzenia wszystkie te posunięcia uporządkowały organizację, dostosowując ją do wymogów istniejącej sytuacji.

W tym samym miesiącu w Świdniku zainicjowano akcję plakatu, o której zrobiło się głośno w regionie. Głównie dlatego, że bardzo celnie uderzała w samo sedno polityki władz stanu wojennego. Na plakacie, który powieszono jako pierwszy, umieszczony był żołnierz depczący Konstytucję PRL, co miało symbolizować jej pogwałcenie przez wprowadzenie stanu wojennego. Na kolejnym widniała świnia z napisem „OPZZ”. To z kolei było bezpośrednim nawiązaniem do tego, że beneficjentem majątku „Solidarności” w wyniku stanu wojennego stał się reżimowy OPZZ. Potem były kolejne, równie celnie uderzające w politykę władz. Świdnicką akcję plakatu kontynuowano aż do końca grudnia 1983 roku.

Początek 1983 r. zaczął się w lotniczym mieście mocnym akcentem szkoleniowym. Komisja Zakładowa WSK we współpracy z podziemnymi władzami Regionu Środkowo-Wschodniego „Solidarności” uruchomiła cykl szkoleń dla związkowców. Zasadniczym celem było lepsze przygotowanie do działań w warunkach ograniczonych sytuacją stanu wojennego. Kluczową rolę w przygotowaniu programu odegrali dr Adam Stanowski z KUL i dr Zygmunt Łupina. Oprócz nich w szkolenia byli zaangażowani: Janusz Mazurek, Andrzej Bączkowski i Sabina Magierska. Szkolenia te niejako „formatowały” świdnickich związkowców, dostarczając im znacznie szerszej wiedzy niż tylko tej, która była im niezbędna do bieżącego funkcjonowania (np. o tym, jak zachować się podczas zatrzymania, przesłuchania, rewizji).

Wiosną 1983 r. działacze świdnickiej „Solidarności” (m.in. Stanisław Bodys, Alfred Bondos, Stanisław Pietruszewski, Stanisław Podpłoński, Janusz Radek, Elżbieta Wilhelm, Tadeusz Zima) zorganizowali Klub Katolicki (KK). Stał się on „przykrywką” dla wielu ciekawych inicjatyw, jakie w następnych latach podejmowała podziemna „Solidarność”. Dotyczyło to zwłaszcza cyklu spotkań z wybitnymi polskimi artystami bojkotującymi reżimową kulturę. W ten sposób do Świdnika mogli zawitać tacy artyści, jak np. Ewa Dałkowska,

Krzysztof Kolberger, Zbigniew Zapasiewicz i wielu innych. Wielką zasługę w organizowaniu tych spotkań miał ks. Jan Hryniewicz, którego kościół stał się prawdziwą oazą podziemnej kultury. Krótko mówiąc świdnicka „Solidarność”, obok działalności politycznej, społecznej, zadbała również o alternatywną kulturę w mieście.

W marcu 1983 roku w Świdniku miało miejsce jedno z najbardziej tragicznych zdarzeń w czasie całego stanu wojennego. Zmarł Leszek Świderski, niestrudzony działacz tamtejszej „Solidarności”, którego kilka tygodni wcześniej zwolniono z ośrodka dla internowanych. Nikt nie miał wątpliwości, że jego zdrowie zostało zrujnowane przez osobiste doświadczenia, których zaznał wraz z wprowadzeniem stanu wojennego. Działacze związku na klepsydrach informujących o śmierci Świderskiego naklejali napisy o treści: „był internowany”. Akcja ta do tego stopnia rozwścieczyła SB, że ta postanowiła usunąć wszystkie rozwieszone klepsydry i to jeszcze przed pogrzebem. Ostatnie pożegnanie przerodziło się w wielką demonstrację „Solidarności”, której członkowie, nie bacząc na konsekwencje, jakie mogą ich spotkać, złożyli na grobie ogromny wieniec z szarfą informującą o tym, że pochodzi on od podziemnych struktur. Pogrzeb Świderskiego pokazał po raz kolejny, jak dużą cenę trzeba płacić za opór przeciwko władzom.

W kwietniu o Świdniku zrobiło się znowu głośno w całej Polsce. Stało się tak za sprawą podziemnego Radia Solidarność Świdnik, które wyemitowało swoją pierwszą ośmiominutową audycję. Wezwano w niej do bojkotu reżimowego święta 1 maja. Jednocześnie zachęcono mieszkańców, aby wzięli udział we mszy świętej w intencji robotników, a także do udziału w uroczystościach z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja. W audycji padły m.in. słowa: „musimy przestać się bać, musimy przestać drżeć o wszystko, musimy przestać zniżać się przed tymi, którzy dążą do zniewolenia nas. Władza, szczególnie władza reżimowa, nigdy nie będzie z narodem. To my, ludzie pracy, młodzież i dzieci nasze, musimy być razem, bo jeden jest nasz cel: żyć w prawdzie i godności. A tego nas właśnie pozbawiono”. Inauguracyjna audycja podziemnego Radia Solidarność Świdnik była kolejnym wyrazem protestu przeciwko stanowi wojennemu i polityce jego twórcy, generała Wojciecha Jaruzelskiego.



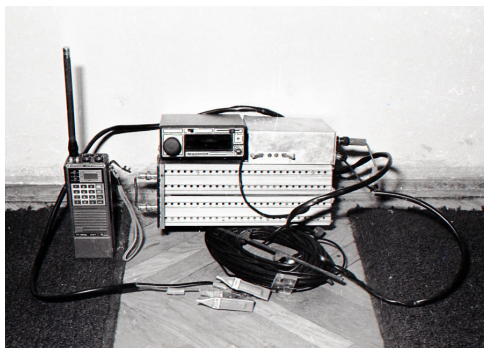
Pojawienie się podziemnego radia było wydarzeniem bezprecedensowym, które przykuło uwagę nie tylko w kraju. O premierowej audycji mówiły również polskojęzyczne rozgłośnie na Zachodzie (m.in. Radio Wolna Europa), jakich Polacy namiętnie wówczas słuchali. Na pomysł utworzenia radia wpadło kilku działaczy świdnickiej „Solidarności”. Jednym z nich był Henryk Gontarz, współorganizator strajku w WSK w grudniu 1981 r. i członek powołanego wtedy Regionalnego Komitetu Strajkowego, który wspólnie z Franciszkiem Zawadą i Waldemarem Karczmarczykiem odpowiadali za stronę organizacyjną radia. Nadajnik skonstruował Ireneusz Haczewski, utalentowany elektronik i działacz „Solidarności” z Lublina. Miał on początkowo

zasięg jedynie kilku kilometrów i umieszczony był we wnętrzu popularnego wówczas magnetofonu marki „Kapral”. To właśnie dlatego w solidarnościowych kręgach żartowano później, że

„kapral pokonał generała”

(była to aluzja do osoby gen. Wojciecha Jaruzelskiego). Początkowo audycje nadawane były na częstotliwości tuż obok fal programu IV Polskiego Radia. Potem do emisji używano przemyconego ze Szwecji mocniejszego nadajnika, który został dostosowany przez Haczewskiego do nadawania na falach programu II Telewizji Polskiej. W efekcie tego zabiegu w telewizorach pozostawał oryginalny obraz, natomiast głos pochodził z nadajnika Radia Solidarność Świdnik,

co niejednokrotnie stwarzało zabawne sytuacje. Tak było już 14 lutego 1984 roku podczas pierwszej emisji za pomocą nowego nadajnika. Telewizorowie w Świdniku zobaczyli wówczas na ekranach swoich telewizorów przywódcę Związku Sowieckiego Konstantina Czernienkę, który przemawiał nad grobem swojego poprzednika Jurija Andropowa, natomiast słyszeli głos spikerki podziemnego radia, w którym krytykowano represje władz wobec świdnickiej „Solidarności”. Teksty do audycji przygotowywali m.in. Alfred Bondos i Cezary Listowski. Czytały je wtajemniczone w działalność radia osoby (m.in. Leszek Fijołek, Bogumiła Górka, Maria Mańko, Anna Marchewa i spikerka o tajemniczym pseudonimie „Jagoda”). Łącznie przygotowano i wyemitowano 43 audycje. Dziesięć z nich popłynęło w eter za pomocą „kaprała”, natomiast pozostałe już przy użyciu szwedzkiego nadajnika. Audycje podziemnego radia nadawane były o różnych porach i w różnych miejscach, czasami były to ustronne balkony, innym razem opuszczone mieszkania. Taka praktyka podyktowana była tym, że od samego początku poważnie obawiano się wpadki. Radiowcy mieli zresztą ku temu poważne powody. Lubelska SB przez wiele miesięcy prowadziła tajną operację o kryptonimie „Nadajnik”, w ramach której specjalistycznym sprzętem triangulacyjnym usiłowano namierzyć, skąd emitowane są programy świdnickiego radia. Ustalenie tego wcale nie było dla SB łatwym zadaniem. Jak donosił jeden z raportów operacji „Nadajnik”, twórcy radia „stanowią grupę zdecydowanych i zaciętrzewionych przeciwników ustroju i naszego aparatu, która pomimo różnych represji z naszej strony nie zaprzestała swojej działalności”. W konsekwencji SB zmuszona została do podjęcia znacznie szerszych działań., które polegały na inwigilacji całego środowiska podziemnej „Solidarności” w Świdniku. Obficie korzystano przy tym z pomocy donosicieli. Dopiero te metody po jakimś czasie przyniosły rezultat. 15 lutego 1984 r. aresztowano Ireneusza Haczewskiego i Henryka Gontarza. Zdradził ich człowiek, który – jak się po latach okazało – był tajnym współpracownikiem o pseudonimie „Władysław”. Gontarz został skazany na półtora roku więzienia w zawieszeniu i wymierzono mu wysoką grzywnę. Haczewskiego z braku twar-



dych dowodów nie zdołano oskarżyć i skazać, ale i tak spędził w areszcie ponad pięć miesięcy. Po tej „wpadce” nadajnik, dzięki któremu emitowano programy, przejął Bolesław Karczmarczyk, wziąwszy na siebie główny ciężar dalszej działalności radia. Ostatecznie zakończyło ono działalność w sierpniu 1988 roku,



czuć było już „w powietrzu” nadchodzącą zmianę sytuacji politycznej w kraju. Świdnickie radio było ważnym fragmentem działalności całego solidarnościowego podziemia, jakie istniało w Polsce po zdelegalizowaniu związku 13 grudnia 1981 r. Niestety, fragmentem, który został bardzo szybko zapomniany.

Wróćmy jednak do wydarzeń, jakie miały miejsce w Świdniku w czasach rządów reżimu Jaruzelskiego, autora stanu wojennego i polityki represji wobec „Solidarności”. W październiku 1983 roku uwagę zachodnich mediów zwróciła ucieczka do Berlina Zachodniego samolotu Jak-12A, należącego do świdnickiego aeroklubu. Rankiem 24 października wystartował on z lotniska pod Lublinem, ciągnąc za sobą szybowiec, który miał być przebazowany na lotnisko w wielkopolskim Lesznie. Następnego dnia miał wracać do Świdnika, ale tam nie dotarł. Okazało się, że wprawdzie wystartował



z Leszna, wylądował jednak na berlińskim lotnisku Tempelhof. Uciekli nim: Leszek Piłat – pilot, Krzysztof Leszczyński – szybownik aeroklubu lubelskiego i Andrzej Draczewski wraz ze swoim małoletnim synem, których zabrano po drodze, lądując na chwilę w rejonie Bodzewa nieopodal Leszna. Po tej ucieczce bezpieka „szalała” w Świdniku. Weryfikowano pilotów aeroklubu, sprawdzano ich rodziny, szukano tych, którzy pasują do profilu potencjalnych uciekinierów. W efekcie siedmiu pilotów nie zostało dopuszczonych do dalszych lotów, a cały aeroklub znalazł się na cenzurowanym. Nie mogło to dziwić, wszak o ucieczce świdnickiego samolotu mówili media w zachodniej Europie.

Koniec 1983 roku przyniósł jeszcze jedno wydarzenie, za to o jakże symbolicznym znaczeniu. 26 listopada w kościele ojców kapucynów przy al. Kraśnickiej w Lublinie odbyła się wyjątkowa uroczystość. Około stu biorących w niej udział świdnickich związkowców w obecności krzyża i sztandaru związkowego złożyło uroczyste przyrzeczenie na wierność ideałom „Solidarności”. Ślubowali dochować wszystkich tajemnic organizacji, aktywnie uczestniczyć w pracach podziemnych i wyrzekli się stosowania przemocy w walce o przywrócenie legalności związku. Każdy otrzymał na pamiątkę równoramienny krzyż ze znakiem „Victorii” i napisem „Czuwam”. Tekst złożonej przysięgi przedrukował potem świdnicki „Grot”. Ale nie to było w tym wszystkim najważniejsze. Złożone przez działaczy uroczyste przyrzeczenie w jakimś sensie nawiązywało do wielkiego etosu bojowników XIX-wiecznych powstań narodowych. Oni również przysięgali uroczyście dochować wierności swoim ideałom i walczyć do końca o założone cele. Podobnie związkowcy, którzy tak, jak przysięgający w styczniu 1863 roku w obozie w Ojcowie „Żuawi śmierci”, chcieli niejako stworzyć swój własny *esprit de corps* (poczucie solidarności). I dlatego właśnie złożona przez nich przysięga stanowiła tak doniosły i symboliczny akt.

Początek 1984 roku zaczął się jednak źle dla świdnickiej „Solidarności”. 12 stycznia zatrzymano Władysława Śnitkę, u którego w domu znaleziono materiały robocze do podziemnego „Grotu”. Kilka dni później aresztowano całą grupę działaczy związanych z biuletynem, w tym m.in. Alfreda Bondosa, Kazimierza Bachanka, Stanisława Bodysa, Mirosława Kaczana, Ryszarda Kimaka, Adama Oleszka i Mirosława Radomskiego. Jak by tego było mało w lutym doszło do „wpadki” w podziemnym Radiu Solidarność Świdnik. Do tego aresztowano

jeszcze Andrzeja Sokołowskiego. Wprawdzie większość z nich wyszła po jakimś czasie z aresztu (ostatni w lipcu 1984 r. na podstawie ogłoszonej przez władze amnestii), ale konieczna była natychmiastowa reorganizacja związku. Na jego czele stanął Adam Oleszek, a do nowych władz weszli m.in. Kazimierz Bachanek, Stefan Gajewski, Bolesław Karczmarczyk, Zbigniew Kursa, Sławomir Łuczak, Witold Marejczyk, Urszula Radek i Jan Wencel. Nastąpiły również istotne zmiany w zakresie kanałów łączności i bieżącego funkcjonowania. Dopiero po nich świdnicka „Solidarność” mogła wznowić swoje akcje. Jedną z nich był bojkot wyborów do Miejskiej Rady Narodowej. Nie mogło zabraknąć akcentów religijnych. W maju zorganizowano pielgrzymki świdnickich robotników do Świętej Lipki i Gietrzwałdu, gdzie modlono się w intencji uwieczonych kolegów. Jak co roku w sierpniu związkowcy wzięli udział w pielgrzymce na Jasną Górę (świdnicka grupa szła w ramach Lubelskiej Pieszej Pielgrzymki), gdzie podczas głównych uroczystości zmanifestowała swoją obecność za pomocą transparentów. Schola młodzieżowa (Sławomir Flis, Piotr Jankowski, Stanisław Mączka, Robert Sieńczak, Zbigniew Wójtowicz i in.), związana ze świdnicką grupą pielgrzymkową nr 17, wielokrotnie odpowiadała za stronę



muzyczną mszy za Ojczyznę sprawowanych w kościele ojców jezuitów w Lublinie przy ul. Królewskiej.

Jesienią 1984 roku uwagę świdniczan, podobnie jak zresztą wszystkich Polaków, przykuło zupełnie inne wydarzenie. 19 października ludzie generała Czesława Kiszczaka, szefa MSW, porwali powracającego do Warszawy księdza Jerzego Popiełuszkę, kapelana „Solidarności”. Kilka tygodni później, 30 listopada, jego zmasakrowane ciało wyłowiono z Wisły. Dla związkowców ze

Świdnika ta śmierć była wyjątkową traumą. Pamiętali wielkie słowa księdza Popiełuszki i jego ciepły uśmiech w czasie spotkania, które odbyło się parę miesięcy wcześniej, w sierpniu, gdy gościł ich w swojej parafii św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu (przyjął grupę byłych więźniów z Regionu Środkowo-Wschodniego). Gdy dotarła do nich informacja o śmierci księdza, po policzkach wielu z nich popłynęły łzy. Nie mogli pogodzić się z tą stratą. Osobiście dał temu wyraz ks. Jan Hryniewicz w swoim przejmującym kazaniu, zwieńczonym dramatycznym wołaniem

„Jurku!”

Kilkusetosobowa grupa związkowców ze Świdnika udała się do Warszawy na pogrzeb, który przerodził się w gigantyczną manifestację sprzeciwu wobec reżimu generała Wojciecha Jaruzelskiego. W kolejnych miesiącach współorganizowali kolejne nabożeństwa za duszę zamordowanego księdza, które odprawiane były zawsze w kościele ojców jezuitów w Lublinie. Ksiądz Popiełuszko pozostał na zawsze najważniejszym patronem dla świdnickiej „Solidarności”.

Wiosną 1985 roku emocje, jakie towarzyszyły Polakom po tragicznej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, nieco opadły, także w Świdniku. Tamtejsza „Solidarność” postanowiła wówczas przeprowadzić dwie spektakularne akcje, które – jak się okazało – mocno rozzłościły komunistyczne władze. Pierwsza miała miejsce w sierpniu, kiedy zorganizowano pikiety pod sklepami monopolowymi. Była to odpowiedź na apel Episkopatu o niespożywanie napojów alkoholowych w tym miesiącu. Wielu uczestnikom tej akcji wymierzono wysokie grzywny. Najmocniej dostało się działaczowi świdnickiej „Solidarności” Stanisławowi Pietruszewskiemu, na którego nałożono grzywnę w wysokości aż 50 tysięcy złotych, co było wówczas kwotą bardzo znaczącą.

Jeszcze bardziej zuchwała była druga akcja zorganizowana w grudniu w Tarnogrodzie koło Biłgoraja. Odbyła się tam uroczystość poświęcenia pomnika Józefa Krzysztofa Gizy – górnika kopalni „Wujek”, zastrzelonego podczas jej pacyfikacji w grudniu 1981 r. Świdniccy związkowcy razem z kolegami z kopalni „Bogdanka” w Łęcznej partycypowali w kosztach tej uroczystości. Historię Józefa Gizy komunistyczne władze chciały „zabetonować” na wieki. Dzięki akcji związkowców zadbane o to, aby mogli ją poznać kolejne



o ufundowaniu dzwonu upamiętniającego robotniczy zryw z 1980 roku. Zaapelowano wówczas o zbiórkę pieniędzy, a także zbiórkę złomu cyny i miedzi, z którego miał zostać wykonany Dzwon Wolności. W rezultacie tej akcji zebrano prawie 2 tony potrzebnego surowca. Posłużył on do odlania w przemysłowej Ludwisarni Felczyńskich ważącego prawie 1,6 tony Dzwonu Wolności.



pokolenia Polaków. I dlatego właśnie akcja w Tarnogrodzie tak zdenerwowała rządzących.

Rok 1986 był kolejnym, w którym świdnicka „Solidarność” toczyła swoją walkę. Zapisła go Dzwonem Wolności, który zawisł tuż obok kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła. To nie była jednak spontaniczna inicjatywa podziemnych struktur, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać. Jej pierwotny pomysł powstał już w marcu 1983 roku, kiedy podziemna Komisja Zakładowa „Solidarności” WSK podjęła uchwałę

Umieszczono na nim wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej i dwa napisy. Pierwszy brzmiał: **„Dzwon Wolności – Matko wspomagaj nas. Kościół N.M.P. Matki Kościoła / Świdnik RP 1980”**, zaś drugi głosił: **„Solidarność ludzi pracy Świdnika do życia mnie powołała / wierność Bogu / umiłowanie Polski / wolność i suwerenność Ojczyzny / godność ludzi pracy / po wsze czasy głosić będę”**.

Uroczystość chrztu dzwonu Wolności odbyła się 18 maja 1986 roku, poświęcenia dokonał sufragan diecezji

lubelskiej biskup Ryszard Karpiński. Z kolei ksiądz Mieczysław Brzozowski, duszpasterz lubelskiej „Solidarności”, wygłosił homilię na temat korzeni polskiej wolności, po czym odczytał telegram przewodniczącego NSZZ Lecha Wałęsy. W wydarzeniu wzięły udział tysiące mieszkańców miasta, a także wielu znamienitych gości, m.in. Anna Walentynowicz, bohaterka strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Wieczorem tamtego dnia podziemne Radio Solidarność Świdnik wyemitowało nagranie z wystąpieniem Zbigniewa Bujaka, legendarnego działacza związku, który został jednym z ojców chrzestnych Dzwonu Wolności. W odczytanym przez spikera przemówieniu Bujak wyraził wielkie uznanie dla mieszkańców Świdnika za dzieło, jakiego się podjęli.

Władze od początku starały się zablokować uroczystości. Gdy okazało się, że nie są w stanie tego zrobić, postanowiły wpłynąć na sam ich charakter. Zaczęły się naciski m.in. na księdza Jana Hryniewicza, proboszcza świdnickiej parafii, potem na biskupa Bolesława Pylaka, ordynariusza diecezji lubelskiej, sugerujące im, aby chrzest Dzwonu Wolności sprowadzono wyłącznie do wymiaru religijnego. Władzom zależało na odebraniu głosu działaczom podziemnej „Solidarności”. Służba Bezpieczeństwa i milicja podjęły szerokie działania, utrudniające związkowcom przybycie na uroczystości. Na drogach dojazdowych do Świdnika zorganizowane zostały blokady i wzmocniono kontrolę jadących samochodów. W rezultacie wielu zaproszonych zostało zawróconych i nie dotarło na miejsce, co skomplikowało sytuację organizatorom. Uszczupliło to również oczekiwane wpływy z datków, które miały zostać przeznaczone na pokrycie reszty kosztów związanych z wykonaniem dzwonu. W takiej



sytuacji z pomocą przyszedł niezastąpiony ksiądz Jan Hryniewicz, który pokrył brakującą sumę ze środków parafii. Dzięki odwadze i determinacji świdnickich działaczy Dzwon Wolności mógł powstać, stając się na zawsze świadectwem solidarnościowej walki.

Koniec roku upłynął pod znakiem kolejnej fali represji wobec świdnickiej „Solidarności”. Aresztowania i przesłuchania dotknęły całą grupę jej działaczy, m.in. Mariana Białego, Barbarę Dudek, Jana Dudka, Stefana Gajewskiego, Stanisława Kuczyńskiego, Sławomira Łuczaka, Kazimierza Susła i Wiesława Zielińskiego. Spodziewano się, że aresztowania obejmą niebawem



kolejnych. W tej sytuacji na początku stycznia 1987 roku po raz kolejny dokonano zmian personalnych w podziemnej Komisji Zakładowej WSK. Kierującego nią dotychczas Bolesława Karczmarczyka zastąpił Marian Król, a w jej nowym składzie znaleźli się m.in. Mirosław Kaczan, Piotr Karwowski, Ryszard Pasek, Edward Prażmo, Urszula Radek, Franciszek Struk i Jan Wencel.

Rok 1987 od początku był czasem oczekiwania na kolejną wizytę w Polsce papieża Jana Pawła II. Tym razem miał on odwiedzić Lublin, z którym w przeszłości był osobiście związany. Nic dziwnego, że w sposób szczególnie czekali na wizytę papieża mieszkańcy Świdnika. Już w marcu w ramach podziemnej Komisji Zakładowej „Solidarności” WSK powołano specjalny zespół ds. przygotowania lubelskiej części wizyty. Zgodnie z wytycznymi Tymczasowego Zarządu Regionu (TZR) zespół ten zainicjował zbiórkę złomu

srebra, które miało być przeznaczone na dar dla papieża. Akcja spotkała się ze sporym odzewem wśród mieszkańców Świdnika. „Solidarność” chciała też, aby zauważono ją na spotkaniu z papieżem w Lublinie. Śmigłowiec z Janem Pawłem II na pokładzie pojawił się w Lublinie rankiem 9 czerwca, lądując na terenie Państwowego Muzeum na Majdanku. Papieska wizyta na terenie byłego niemieckiego obozu koncentracyjnego trwała zaledwie kilkanaście minut. Dostojny gość z Watykanu spotkał się z byłymi więźniami obozu, złożył wiązanek kwiatów pod mauzoleum i odmówił modlitwę za ofiary Majdanka. Potem swoim papamobile udał się do katedry, gdzie modlił się przed obrazem Matki Bożej Płaczącej. Stamtąd udał się na KUL, gdzie doszło do spotkania z ludźmi polskiej nauki, a potem z pracownikami i studentami katolickiej uczelni. Dopiero po południu Jan Paweł II przybył do dzielnicy Czuby, gdzie zaplanowano główną mszę św. z udziałem tysięcy wiernych. Były wśród nich także liczne grupy ze Świdnika, które przywiozły ze sobą ogromnej wielkości transparenty, widoczne z bardzo daleka. Obok czysto kurtuazyjnych napisów w rodzaju „Świdnik wita papieża” czy

„Ojcie Świąty pobłogostaw Solidarność Świdnik”,

były też takie, które wyjątkowo drażniły władze. Na pewno należał do nich transparent z hasłem: „Uwolnić Sokołowskiego i Bondosa – Świdnik”, których SB poprzedniego dnia „profilaktycznie” aresztowała w ramach prowadzonej operacji „Zorza II”. Miała ona całościowo „zabezpieczać” wizytę papieża w Lublinie. Ale w rękach obecnych na Czubah związkowców były także inne, równie prowokujące rządzących transparenty, jak np.

„Gdzie komunizm, tam nędza – robotnicy Świdnika”.

Podczas homilii zgromadzeni na lubelskich Czubah wierni wielokrotnie wznosili okrzyki na cześć papieża. Niemala część z nich inicjowana była przez związkowców ze Świdnika. Po zakończeniu liturgii Jan Paweł II udał się ponownie na Majdanek, skąd odleciał do Tarnowa, który był kolejnym przystankiem na drodze jego pielgrzymki. Tamto lubelskie spotkanie pozostawiło biorącym w nim udział świdniczanom wzruszające wspomnienia, które jeszcze długo przywoływali w rozmowach z rodzinami i przyjaciółmi. Głównie dlatego, że papież przynajmniej na chwilę dał im poczucie prawdziwej wolności, której

tak bardzo pragnęli, żyjąc w komunistycznym państwie.

Początek 1988 roku nie wskazywał, że wkrótce nastąpi przełom. Wprawdzie wiosną doszło do fali protestów w całym kraju, ale dość szybko zostały wygaszone przez władze. Można było odnieść wrażenie, że wszystko wraca do normy. Tak sądzono również w Świdniku. Były ku temu przesłanki. Przed kolejnym reżimowym świętem 1 maja na działaczy „Solidarności” posypały się kolejne grzywny. Tym razem za „antyrządowe ulotki” i kwiaty złożone pod lubelskim pomnikiem Konstytucji 3 maja. Otrzymali je m.in. Marek Brzozowski i Bronisław Bucior. Z kolei w lipcu skutecznie uniemożliwiono próbę strajku, jaki zamierzano przeprowadzić w WSK w ósmą rocznicę lipca wydarzeń z 1980 r. Jednak w sierpniu wybuchły w Polsce kolejne protesty, jeszcze większe niż dotąd, i władze nie miały już wyjścia: musiały jak najszybciej wdrożyć plan awaryjny od dawna trzymany w szufladzie. Zainicjowały rozmowy z NSZZ „Solidarność” w willi MSW w podwarszawskiej Magdalence wierząc, że uda się doprowadzić do politycznego kompromisu. Miał być on dla nich jedynym ratunkiem. W zaistniałej sytuacji w świdnickiej fabryce sformowany został kilkusobowy Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność”, w skład którego weszli m.in. Zbigniew Biały, Edward Bieniek, Andrzej Borys, Stanisław Butyński, Piotr Kuczyński, Jan Kwit, Marek Matys, Andrzej Padała, Ryszard Pasek, Krzysztof Rak i Stanisław Wielkoleński. Na początku października 1988 roku komitet złożył w Sądzie Wojewódzkim w Lublinie wniosek o swoją rejestrację. Co ciekawe, poparła go oficjalnie Rada Pracownicza WSK, która już wcześniej została zdominowana przez związkowców podziemnej „Solidarności”. Gdy lubelski sąd oddalił wniosek, jego inicjatorzy wnieśli rewizję od tej decyzji do Sądu Najwyższego w Warszawie, który w listopadzie przychylił się do orzeczenia niższej instancji. Przypuszczalnie stało się tak dlatego, że nadal trwały rozmowy w Magdalence i władze nie uzgodniły jeszcze wszystkich szczegółów przyszłego kompromisu z „Solidarnością”. Wniosek okazał się zatem przedwczesny – wyprzedzał niejako sytuację polityczną.

Świdnicka „Solidarność” powoli wychodziła z podziemia, działając coraz bardziej legalnie. Ale dopiero porozumienie Okrągłego Stołu pozwoliło na radykalną zmianę tego stanu rzeczy. Możliwe stało się bowiem ponowne zarejestrowanie „Solidarności”, co formalnie nastąpiło 7 kwietnia 1989 roku. Dopiero wtedy związek mógł działać w pełni legalnie na terenie całego kraju.

W Świdniku zawiązał się wówczas Komitet Obywatelski (KO) „Solidarność”, który miał być lokalną agendą centrali, mającą pokierować kampanią wyborczą przed czerwcowymi wyborami do Sejmu i Senatu. Zgodnie z porozumieniem Okrągłego Stołu miały się one odbyć w dwóch turach – 4 i 18 czerwca 1989 roku. Przewodniczącym świdnickiego KO został Andrzej Sokołowski, a w prezydium znaleźli się m.in. Andrzej Borys, Krystyna Jakubowska, Jan Kondrak, Henryk Lewczuk, Cezary Listowski, Dariusz Mańka, Stanisław Skrok i Elżbieta Wilhelm. Swoistym domknięciem podziemnego okresu stały się pierwsze jawne wybory Komisji Zakładowej „Solidarności” w WSK, w wyniku których szefem został Marian Król.

Cena, jaką zapłaciła świdnicka „Solidarność” za swoją walkę o wolność, była bardzo wysoka. Z pracy w WSK od początku stanu wojennego zwolnionych zostało łącznie prawie 1500 działaczy. Być może nawet jedna trzecia z nich była internowana, zaliczyła areszty, więzienia i otrzymała wyroki, kolegia i grzywny za prowadzoną działalność. Wielu związkowców zmuszonych zostało do emigracji wraz ze swoimi rodzinami. Wśród tych, którzy wyemigrowali na Zachód, znaleźli się m.in. Aleksander Bachur, Antoni Grzegorzczak, Leszek Graniczka, Zygmunt Karwowski, Ryszard Krzyżanek, Ryszard Kuć, Włodzimierz Mazurek, Zbigniew Puczek, Stanisław Pyć, Zbigniew Raczek, Barbara i Mirosław Radomscy, Marian Smalec i wielu innych. Tylko nieliczni po latach powrócili do Świdnika. Ogromną cenę zapłaciły również rodziny represjonowanych działaczy „Solidarności”, które przez lata żyły w kleszczach ustawicznych szykan i represji. Wysokie koszty musieli też ponieść wszyscy mieszkańcy Świdnika, który był w tym czasie miastem otoczonym szczególną „opieką” komunistycznych tajnych służb. Skutkowało to nie tylko represjami, ale i ograniczonymi perspektywami, zarówno zawodowymi, jak i życiowymi. Tego nikt im już nigdy nie zrekompensuje. Ale można i trzeba przypominać historię bohaterskiego miasta i jego mieszkańców. Ta książka jest próbą oddania hołdu ich niestrudzonej walce.



Rozdział VI

Milczenie III RP

Winston Churchill powiedział kiedyś, że „historia jest pisana przez zwycięzców”. Brytyjski premier, mówiąc te słowa, nie dodał jednak, że historia pisana przez zwycięzców zazwyczaj niewiele ma wspólnego z historyczną prawdą.

Dokładnie tak właśnie stało się z historią polskiej drogi do wolności. Zaczęto ją pisać w zasadzie zaraz po tym, gdy przedstawiciele władz z reprezentantami „Solidarności” zawarli polityczne porozumienie przy Okrągłym Stole. Prawie natychmiast uznano je za wielki sukces wszystkich Polaków. Dość szybko zrodził się jednak problem, kogo faktycznie należy uznać za zwycięzcę walki o wolność, jaką przez prawie dekadę Polacy prowadzili pod sztandarami „Solidarności”. W gruncie rzeczy obie strony sygnujące porozumienie (komunistyczna i solidarnościowa) za takiego się uważały. „Solidarność” czuła się wygraną, bo – jak sądziła – to jej walka doprowadziła do uruchomienia politycznych i gospodarczych zmian, w rezultacie których zaczęto budować wolną i demokratyczną Polskę. Ale swój triumf obwieszczali również komuniści, twierdzący, że to dzięki ich mądrości i odpowiedzialności przy Okrągłym Stole można budować demokratyczne państwo i wolnorynkową gospodarkę. Przekonania obydwu stron jako pierwszy usiłował pogodzić Adam Michnik, który wraz ze swoimi kolegami z „Gazety Wyborczej” zaczął pisać historię najnowszą. Najważniejszy jej rozdział miał, zdaniem redaktora naczelnego gazety, wydarzyć się właśnie przy Okrągłym Stole, którego on sam był od początku wielkim orędownikiem. Według Michnika to właśnie w trakcie obrad związkowcy i ich oponenci mieli toczoną ze sobą walkę zamienić na mądre porozumienie, dzięki któremu Polacy otrzymali „w prezencie” wolną i demokratyczną Polskę. Po latach Michnik w ramach propagowania swojej wersji historii streścił ten jej rozdział w następujący sposób: „przy Okrągłym Stole usiedli naprzeciw siebie ludzie, których dzieliło wszystko. Nie znali się, nie szanowali, nie ufali sobie. I do tego szczerze się nie znosili. Ale dla jednych

i drugich był to moment egzaminu (...) z patriotyzmu i odpowiedzialności za Polskę. Myślę, że wszyscy w tamtych dniach zdali ten egzamin”. Tak oto naczelny „Gazety Wyborczej” wyłożył rodakom najważniejszą część napisanej przez siebie historii. Poniekąd odpowiadało to również komunistom, którzy w wolnej Polsce dość łatwo przemienili się w socjaldemokratyczną lewicę.

Historia lubi mieć jednak swoich bohaterów, których twarze mogłyby być jej symbolami, a oni sami – przedmiotem czci i uwielbienia. Jednym z nich postanowił zostać Lech Wałęsa, lider „Solidarności”, a następnie pierwszy demokratycznie wybrany Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej (w kadencji 1990–1995). Opowiadana przez niego historia zaczynała się w 1980 roku, ale dopiero w sierpniu, od słynnego skoku przez płot Stoczni Gdańskiej, w której – gdy się pojawił – zorganizował strajk i wymógł na komunistycznych władzach podpisanie porozumienia, w którym zobowiązały się one do realizacji zgłoszonych przez związkowców 21 postulatów. Wśród żądań była zgoda na rejestrację „Solidarności”, pierwszego niezależnego od władz związku zawodowego w całym komunistycznym bloku. W historii Lecha Wałęsy to on miał poprowadzić „Solidarność” do zwycięstwa, które przypieczętowano ostatecznie przy Okrągłym Stole.

Ale ta historia jego autorstwa szybko napotkała na problemy związane z wiarygodnością twórcy. Zaczęły się one już w 1992 roku, kiedy preforsowano w Sejmie uchwałę lustracyjną. Okazało się wówczas, że Wałęsa znalazł się na przygotowanej przez szefa MSW Antoniego Macierewicza liście tajnych współpracowników komunistycznej bezpieki pod pseudonimem „Bolek”. Potem było jeszcze gorzej – w szafie byłego szefa MSW generała Czesława Kiszczaka odkryto najważniejsze „papiery” dotyczące współpracy Wałęsy z SB. Mogliśmy się wówczas wstydzić legendy „Solidarności”. Szkoda tylko, że on sam nie wstydził się wszystkich kłamstw w stworzonej przez siebie historii.

To jednak narracje Michnika i Wałęsy miały zasadniczy wpływ na kształt wspomnień o polskiej drodze do wolności. Głównie dlatego, że zainfekowały ją kłamstwami, które z upodobaniem powielano w kolejnych latach III RP, jak umownie zaczęliśmy nazywać Polskę, która narodziła się przy Okrągłym Stole. Czynili to politycy, dziennikarze, a nawet historycy. I tak przez prawie dekadę. Nawet gdy powstał Instytut Pamięci Narodowej (IPN)

i rozpoczął swoją ustawową działalność, trudno było te kłamstwa całkowicie wypłenić ze świadomości odbiorców. Wprawdzie powstawały kolejne publikacje naukowe oparte na materiałach archiwalnych zgromadzonych przez IPN (akta komunistycznych organów bezpieczeństwa), ale zasadniczy kształt historii aż tak bardzo się nie zmienił. Nadal zaczynała się ona w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku i wciąż jej najważniejszym bohaterem był lider „Solidarności” Lech Wałęsa. Historycy zapominali o tym, że był to związek zrzeszający prawie dziesięć milionów Polaków, który toczył wiele ważnych bitew w całej Polsce. Jedna z nich miała miejsce w podlubelskim Świdniku. Być może była ona nawet najważniejsza – bez niej przecież trudno sobie wyobrazić inne, również zwycięskie, toczono o polską wolność. To był ten kamień, który poruszył lawinę. Tyle że Świdnik nie pojawił się nigdy w historii polskiej drogi do wolności. Tak było nawet wtedy, gdy za jej pisanie zabrali się historycy IPN.

Świdnik nie za bardzo pasował do narracji, którą chciano opowiadać. Chyba głównie dlatego, że było to miasto w całości zaplanowane przez komunistów i położone na mało znaczącej Lubelszczyźnie, która kojarzyła się z powstaniem PKWN i narodzinami komunistycznej Polski. Te dwa czynniki razem wzięte już same w sobie deprecjonowały rolę Świdnika. A to, że była ona wyjątkowa, pozostaje poza wszelkimi wątpliwościami.

To właśnie tu Polacy najszybciej dojrzelili do walki o wolność, o którą zaczęli toczyć bój zupełnie inaczej niż robiono to dotąd. Posłużyli się pokojową metodą, w całości tutaj wymyśloną i zrealizowaną w praktyce, i to jeszcze



zanim narodziła się „Solidarność”. Ale nie stało się tak bez powodu. Budowany jako wzorcowe komunistyczne „miasto bez Boga” Świdnik nigdy nie dążył do bycia takim. Bunt przeciwko niesprawiedliwemu systemowi narastał tu przez lata. Pod koniec lat siedemdziesiątych było już niemal pewne, że niebawem wybuchnie. Stało się to dokładnie 8 lipca 1980 roku, kiedy robotnicy podjęli pokojowy strajk, wytyczając drogę innym. Zapewne nie zdecydowałoby się na to, nie słuchając wcześniej słów polskiego papieża, który mówił o godności i solidarności Polaków. Odważyli się, dając upust swojej frustracji z życia w komunistycznym państwie, które nie pozwalało im nawet na zbudowanie własnego kościoła. W lipcu 1980 roku poczuli się silni na tyle, aby ruszyć do działania. Nie dali się przy tym ponieść emocjom, podyktowanym jedynie potrzebą uzewnętrznienia swojego buntu przeciwko istniejącemu systemowi. Za ich działaniem stała mądrość, której uczyli się przez lata. To ona sprawiła, że nie wyszli wówczas na ulice, dzięki czemu nie polała się krew. Zawiązali strajkowy Komitet Postojowy, zadbali o porządek na terenie swojego zakładu, wysunęli postulaty i domagali się rozmów z władzami w sprawie ich realizacji. Byli wystarczająco zdeterminowani, ale i solidarni w tym, aby osiągnąć swój cel. Dokonali wówczas tego, zmuszając komunistów do podpisania pierwszego pisemnego porozumienia, w którym zobowiązano się do spełnienia postulatów strajkujących. To była zupełnie nowa metoda robotniczego buntu. Wymyślono ją w Świdniku. Nawet Lech Wałęsa w lipcu 1980 roku był pod wrażeniem jej skuteczności, stawiając w gronie swoich kolegów ze Stoczni Gdańskiej retoryczne pytanie: „Jak oni to zrobili?”. Rok później, podczas wizyty w Lublinie, powiedział o lipcowym strajku: „Trzeba pamiętać, że byliście jednymi z pierwszych. To co zrobiliście było ładne, trzeba to docenić i pamiętać, bo bez was nie byłoby nas”. Legenda „Solidarności” Anna Walentynowicz wspominała, że świdnicki zryw dał liderom sierpniowych protestów nadzieję i odwagę. Jak pokazały późniejsze wydarzenia w Polsce, świdnicką metodą „Solidarność” posługiwała się przez cały okres swojej walki.

Ale Świdnik nie tylko z tego powodu stanowił istotny punkt na drodze do polskiej wolności. Miasto było bardzo ważną fortecą wszystkich robotniczych strajków, jakie zorganizowano w ostatniej dekadzie PRL. Tak było w lipcu 1980 roku, gdy potężna ich fala przetoczyła się przez Lubelszczyznę. Podobnie w grudniu 1981 roku, kiedy zakłady pracy w całej Polsce podjęły protesty przeciwko akcji wprowadzania stanu wojennego. I w następnych latach, gdy

dochodziło do kolejnych strajków, albo istniało prawdopodobieństwo, że one wybuchną. Komunistyczne władze za każdym razem obawiały się Świdnika. Zdawano sobie sprawę, że strajk prawie dziesięcioletniej załogi WSK będzie oznaczał potężne problemy w opanowaniu sytuacji w innych miejscach w kraju. Nie było w tym żadnej przesady. To tutaj „Solidarność” należała do najsilniejszych. Świdnicka WSK była też swoistym centrum dowodzenia akcją strajkową w regionie. Z jej stanowiskiem liczyły się też największe zakłady przemysłowe w kraju.

Świdnik był bardzo specyficznym miastem. Głównie dlatego, że został zbudowany wokół WSK. Całe życie toczyło się niejako wokół wytwórni, w której zatrudnienie znalazła większość mieszkańców. Nic dziwnego, że codzienne problemy robotników fabryki mieszały się z problemami wszystkich świdniczan. To właśnie dlatego procesy integracji mogły tu przebiegać szybciej i głębiej. W efekcie wytworzyły one silne więzi solidarności społecznej i to zanim jeszcze narodził się NSZZ „Solidarność”. Miało to ogromne znaczenie zwłaszcza wtedy, gdy nastał stan wojenny i Polacy musieli się mierzyć z wieloma naprawdę trudnymi wyzwaniami. Niewątpliwie każde z nich wiązało się z poczuciem społecznej solidarności. Mieszkańcy Świdnika mieli ją w sobie od dawna. Dzięki niej w czasie stanu wojennego rodziły się tu niezwykle cenne inicjatywy społeczne, które potem kopiowano w innych polskich miastach. Jednym z takich przedsięwzięć była „Solidarność Młodych”, do której należeli młodzi świdniczanie. Kolejne to „Wakacje z Bogiem”, z których skorzystały świdnickie dzieci i które przerodziły się w długotrwałą społeczną akcję. Bez silnej solidarności nie byłoby też „świdnickich spacerów”, stanowiących wyraz buntu wobec rzeczywistości, jaką władze zaserwowały Polakom. Nie powstałoby również podziemne Radio Solidarność Świdnik i z pewnością nie zbudowano by Dzwonu Wolności, który do dzisiaj upamiętnia robotniczy zryw z 1980 roku. Nie wydarzyłoby się jeszcze wiele innych rzeczy, z jakimi mieliśmy do czynienia w Świdniku w tamtych czasach. Przede wszystkim nie byłby możliwy tak silny opór wobec reżimu generała Wojciecha Jaruzelskiego. Zapłacono za niego naprawdę wysoką cenę. Kto wie, czy nie największą spośród wszystkich polskich miast, gdyby tylko zmierzyć faktyczną skalę represji w odniesieniu do liczby ludności. Tym bardziej więc należało oddać Świdnikowi uznanie, pisząc historię polskiej drogi do wolności. Ale tak się nie stało!

I trudno jest znaleźć przekonującą odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się nie stało. Po roku 1989 władze miasta podejmowali liczne wysiłki, aby przywrócić Świdnikowi właściwe miejsce w historii. Starania podejmował urzędujący od wielu lat burmistrz Waldemar Jakson, który sam czynnie uczestniczył w opisywanych w tej publikacji wydarzeniach. Swoją opozycyjną działalność zaczął już w latach siedemdziesiątych jako działacz ROPCiO i kolporter KOR-owskiego „Robotnika”, a potem kontynuował ją zostając działaczem podziemnych struktur „Solidarności” i kolporterem jej wydawnictw, internowanym w stanie wojennym. Jako historyk z wykształcenia dobrze rozumiał, gdzie leży problem z historią Świdnika. To dlatego wiele razy organizował w mieście uroczystości upamiętniające strajk z lipca 1980 roku. Największe miały miejsce w lipcu 2005 roku, w dwudziestą piątą rocznicę pamiętnego strajku. W zasadzie przez cały 2005 rok obchodzono w Świdniku jubileusz ćwierćwiecza protestu. Tak było również w 2010 roku przy okazji 30-lecia tamtych wydarzeń. Burmistrz Jakson podejmował także wiele innych inicjatyw dla upamiętnienia roli Świdnika w walce z komunistycznym systemem. Miasto wydało kilka publikacji książkowych związanych z pamiętnym Lipcem, które trafiły do najważniejszych bibliotek w kraju i zakładów historii szkół wyższych. Przy wsparciu finansowym miasta zrealizowano filmy dokumentujące najważniejsze karty z historii Świdnika. Nie przyniosło to jednak oczekiwanego rezultatu. Być może stało się tak dlatego, że w uroczystościach, które miały wyraźnie zaakcentować miejsce Świdnika w historii polskiej drogi do wolności, zabrakło przedstawicieli najwyższych władz, włącznie z Prezydentem Rzeczypospolitej?

Starania, aby zapisać właściwą rolę Świdnika w walce z komuną, podejmował również pochodzący ze Świdnika Marian Król, od kilku kadencji przewodniczący Zarządu Regionu Środkowowschodniego NSZZ „Solidarność” w Lublinie. Marian Król, w przeszłości robotnik świdnickiej WSK i działacz zakładowej „Solidarności”, a potem szef jej podziemnych struktur, wielokrotnie namawiał Lecha Wałęsę do przyjazdu do Świdnika. Wielokrotnie też zapraszał liderów „Solidarności” na obchody upamiętniające lipcowe strajki 1980 r. Ale jego wysiłki również nie przyniosły oczekiwanego efektu. Wałęsa nigdy nie znalazł czasu. Z kolei absencja kolejnych przywódców związku wynikała głównie z ich obaw przed zburzeniem solidarnościowej wersji historii, która – jak zostało to zapisane – zaczęła się dopiero w sierpniu 1980 roku w Stoczni

Gdańskiej. Chyba dlatego świdnickiego strajku i całego Lubelskiego Lipca nie zaliczono do kanonu solidarnościowej historii.

Brakuje w polskiej historii miejsca dla Świdnika, chociaż – jak już wspomnieliśmy – zasługuje on na to, by się w niej znaleźć jak mało które miasto w Polsce. Był prawdziwą fortecą „Solidarności”, o czym dzisiaj niemal zupełnie się nie pamięta. I to jest właśnie największy paradoks w historii polskiej drogi do wolności.

Jeśli więc historia może wyrządzić komuś krzywdę, to na pewno uczyniła ją Świdnikowi, wyrzucając go poza ramy swojej opowieści. Trzeba to zmienić, bo w komunistycznej Polsce było to miasto prawdziwej wolności.



W publikacji wykorzystano m.in.:

Ash T.G., *Polska rewolucja. Solidarność 1980–1981*, Warszawa 1990

Bałtowski M., *Gospodarka socjalistyczna w Polsce. Geneza – rozwój – upadek*, Warszawa 2009

Dąbrowski M., *Lubelski Lipiec 1980*, Lublin 2000

Dąbrowski M., *NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni w latach 1980–1981*, Lublin 2014

Dudek A., Gryz R., *Komuniści i kościół w Polsce 1945–1989*, Kraków 2003

Dudziec J., *Stracone lata? Tajemnice Jana Czogały*, Lublin 1993

Friszke A., *Rewolucja Solidarności 1980–1981*, Kraków 2014

Gontarz H., *Historia Radia „Solidarność” Świdnik w świetle faktów i dokumentów. Chronologia wydarzeń*, Lublin 2008

Grudniowa tragedia. Na podstawie materiałów z konferencji historycznej w XXX rocznicę wprowadzenia stanu wojennego – Lublin, 14 grudnia 2011 roku, red. Mariusz Karwowski, Lublin 2012

Holzer J., *„Solidarność” 1980–1981. Geneza i historia*, Warszawa 1990,

Kartki z historii Świdnika, red. Piotr R. Jankowski, Świdnik 2011

Kozłowski T., *Anatomia Rewolucji. Narodziny Ruchu Społecznego „Solidarność” w 1980 r.*, Warszawa 2017

Mieczkowski A., *Ksiądz kanonik Jan Hryniewicz. Ojciec duchowy Świdniczan*, Świdnik 2002

Nasz Świdnik. 50 lat Miasta Świdnika, red. Piotr R. Jankowski, Antoni Mieczkowski, Sławomir Myk, Świdnik 2004

Na początku był Lipiec. Materiały z sympozjum naukowo-historycznego. KUL, 7 czerwca 2005 r., red. Piotr Paweł Gach, Lublin 2005

NSZZ „Solidarność” na Lubelszczyźnie 1980–1981. Wybór źródeł, oprac. Małgorzata Choma-Jusińska, Marcin Dąbrowski, Lublin 2011

Przed Sierpniem był Lipiec. Historia i teraźniejszość „Solidarności” na Lubelszczyźnie. Materiały z sympozjum związkowego, red. Józef Kaczor, Lublin 2000

Przed Sierpniem był Lubelski Lipiec. Na podstawie materiałów z konferencji „Lubelski Lipiec. Dziedzictwo Solidarności” – Lublin 14 czerwca 2010 roku, red. Mariusz Karwowski, Lublin 2012

Puczek Z., *Patrząc wstecz, Świdnik lipiec 80*, „Biuletyn Związkowy WSK – PZL Świdnik” 1981, nr 33 i 34

Puczek Z., *Wspomnienia z pierwszego strajku*, „Miesiące. Przegląd Związkowy” 1981, nr 1

Rolicki J., *Edward Gierek: Przerwana dekada*, Warszawa 1990

Ruch Solidarności Rodzin, red. Jerzy Bartmiński, Lublin 1990

Stąd ruszyła lawina. Region Środkowowschodni NSZZ „Solidarność” 1980–1989, red. Piotr Paweł Gach, Lublin 2006

Strajki w Polsce w XX wieku, red. Ryszard Gryz, Warszawa 2011

Świdnik – tutaj narodziła się wolność, red. Piotr R. Jankowski, Świdnik 2018

Świdnicki Lipiec, red. Piotr R. Jankowski, Świdnik 2011

Touraine Alain, *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, Gdańsk 2010

Żenczykowski T., *Polska Lubelska 1944*, Paryż 1987

OPIS ZDJĘĆ

str. 7 Budowa hali zakładowej.

str. 8 Robotnicze osiedle baraków mieszkalnych.

str. 9 Murowanie ścian obiektów zakładowych.

str. 10 Taśma montażowa motocyklista.

str. 13 Prace budowlane w najstarszej części miasta, w okolicy dzisiejszego szpitala.

str. 18 Teren wokół budowanego kościoła pw. Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła.

str. 20 Msza św. sprawowana przy ołtarzu polowym na placu budowy kościoła NMP Matki Kościoła.

str. 21 Strop nad pierwszym poziomem kościoła.

str. 22 Ręczny wyładunek cegły, w pracy pomagały również kobiety.

str. 23 Pierwszy proboszcz, ks. Jan Hryniewicz, święci krzyże dla Solidarności, dolny kościół.

str. 27 Na placu budowy, jako nieformalny kierownik budowy, proboszcz był bardzo często.

str. 28 Młodzież szkolna, wraz z księdzem wikariuszem, pomagająca na placu budowy.

str. 29 Elementy konstrukcyjne, pustaki stropowe tzw. akermany - wspomniane często w ogłoszeniach przez ks. Hryniewicza.

str. 31 Edward Gierek w rozmowie z pracownikami WSK Świdnik. Na początku sierpnia wizytę w Świdniku złożył I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Odwiedził oczywiście zakład, w którym otrzymał na pamiątkę model śmigłowca. Zarejestrowały to kamery telewizyjne, a materiał o wizycie ukazał się 6 sierpnia 1971 roku w telewizji.

str. 33 Spotkanie E. Gierka z młodzieżą świdnicką, przy hali Avii. Obok Gierka stoi (w ciemnej marynarce, ciemny krawat) Tadeusz Wojciechowski, przewodniczący rady miejskiej, pracownik WSK; Wojewoda Lubelski Ryszard Wójcik (w jasnej marynarce, w krawacie w paski,). Za wojewodą Tadeusz Kudelski, dyspozytor w transporcie WSK, sekretarz koła sportowego Stal, bokser (w podkoszulku i rozpiętej bluzie); Bronisław Słomka, pracownik transportu WSK (za samochodem w koszuli w paski z założonymi rękami); Waldemar Drumlewski, przewodniczący zarządu zakładowego ZSMP (w

koszuli i krawacie, ciemne włosy, obok Wójcika).

str. 36 Stadion piłkarski Avii, wiec poparcia dla Gierka, orkiestra zakładowa pod dyktando Henryka Maruszaka, 1976 r.

str. 38 Podwyższenie krzyża na placu budowy kościoła.

str. 41 Kolejka po mydło przed sklepem przy ul. Skłodowskiej. Fot. Jerzy Oleszczuk.

str. 45 Zofia Bartkiewicz.

str. 47 Zbigniew Puczek.

str. 50 Tekst porozumienia z 11 lipca 1980 r.

str. 54 Pierwsza rocznica strajków, uroczystości na terenie zakładu, 1981 r.

str. 61 Pierwszy numer „Pisma Związkowego”, 1980 r.

str. 62 Pierwsza Statutowa Konferencja Wyborcza, hala Avii, 1980 r. Fot. Waldemar Wawrzyszko.

str. 63 Pierwsza Statutowa Konferencja Wyborcza, hala Avii, 1980 r. Fot. Waldemar Wawrzyszko.

str. 67 Pierwsze Walne Zebranie NSZZ Solidarność Regionu Środkowo-Wschodniego. Na schodach przed wejściem do hali Avii. W pierwszym rzędzie, trzeci od prawej, Ryszard Kuć. 1981 r.

str. 68 Pochód z okazji 1 maja, trybuna honorowa przy głównej ulicy w mieście - ul. Sławińskiego (dzisiaj Niepodległości).

str. 69 Przemawia Lech Wałęsa. Pierwszy z prawej Ryszard Kuć, stoi pierwszy z lewej Stanisław Pietruszewski.

str. 71 I Krajowy Zjazd Delegatów w Gdańsku, przy stole pochylony Ryszard Kuć, 1981 r.

str. 74 Mieszkańcy Świdnika przed halą Avii.

str. 75 Dyrektor naczelny zakładu WSK Jan Czogała.

str. 77 Ulotka napisana przez Alfreda Bondosa, 1981 r.

str. 79 Ulotka napisana przez Alfreda Bondosa, z naniesioną aktualizacją, 1981 r.

str. 80 Postanowienie Komitetu Strajkowego o „internowaniu” dyrektora, 1981 r.

str. 81 Barykada przed główną bramą wjazdową do zakładu, 1981 r. Fot. Sławomir Smyk.

str. 82 Zdjęcie z terenu zakładu w kierunku parku Avii, widoczne zgrupowanie wojska, 1981 r.

str. 85 Dzieci z darami otrzymanymi z parafii.

str. 86 Projekt winiety Biuletynu Związkowego „Grot”, 1981 r.

str. 87 Ulotka nawołująca do wystawienia zapalonej świecy w oknie.

str. 88 Jedyne zachowane zdjęcie mieszkańców podczas Świdnickich Spacerów, dzisiaj plac Konstytucji 3 maja.

str. 90 Córka Urszula odwiedzająca ojca, Ryszarda Kucia, podczas jego internowania.

str. 94 Twórcy podziemnego Radia Solidarność Świdnik, Henryk Gontarz, Ireneusz Haczewski.

str. 95 Nadajnik Radia Solidarność Świdnik.

str. 96 Samolot Jak-12A świdnickiego aeroklubu na lotnisku Tempelhof, Andrzej Draczewski i jego syn Jacek (niesiony przez żołnierza), 1983 r.

str. 98 Wieniec od świdnickiej Solidarności na uroczystości pogrzebowe zamordowanego ks. Jerzego Popiełuszki, 1984 r.

str. 100 Dzwon Wolności, poświęcenia dokonał bp Ryszard Karpiński, 1986 r.

str. 101 Mieszkańcy zgromadzeni na uroczystości chrztu Dzwonu Wolności, 1986 r.

str. 102 Msza św. z udziałem papieża Jana Pawła II, widoczne transparenty świdnickiej Solidarności, Lublin, 1987 r.

str. 105 Fragment biało-czerwonej opaski Solidarności.

str. 108 Transparenty Solidarności ze Świdnika zawieszane na ogrodzeniu pod wałami Jasnej Góry, po zakończeniu pieszej pielgrzymki, lata 80. XXw.

str. 112 Pamiątkowa tablica z kościoła pw. NMP Matki Kościoła i okładki publikacji dotyczących wydarzeń Świdnickiego Lipca.

Spis treści

WSTĘP.....	3
ROZDZIAŁ I, Narodziny miasta	5
ROZDZIAŁ II, Korzenie buntu	24
ROZDZIAŁ III, Świdnicki Lipiec	42
ROZDZIAŁ IV, Czas „Solidarności”	55
ROZDZIAŁ V, Mroki stanu wojennego	77
ROZDZIAŁ VI, Milczenie III RP	106
BIBLIOGRAFIA.....	113
OPIS ZDJĘĆ.....	115